CENA 15 ZŁ

CZYTELNIK

Odra tygodnik

WROCŁAW

KATOWICE

NUMER 48 (105) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 30 LISTOPADA 1947 ROKU ROK III

BIBLIOTEKA POMOCY NAUKOWEJ GDYNI AKADEMII MARYNARKI WOJENNEJ

WOJCIECH ŻUKROWSKI

DUSZA i CIAŁO

Reportaż Wojciecha Żukrowskiego porusza problem niezwykle ważny dla narodu polskiego, problem wzrostu i rozszerzania się chorób wenerycznych. Na to zagadnienie głównie pragniemy zwrócić uwagę czytelników reportażu. Żukrowski, postępowy katolik, podaje pewne rozwiązania w sensie wychowawczo-ideowym. Niewątpliwie rozwiązania mogą być jeszcze inne i jest ich z pewnością więcej. Artykuł Żukrowskiego to jeszcze jeden sygnał ostrzegawczy w sprawie, której prawdziwy obraz nie może zejść z oczu żadnego Polaka, bez względu na przekonania ideowe.

Gdyby nie dwa szerokie pasy autostrady, mógłbym płaski pejzaż z łatwością przemieścić na podwarszawskie piaski. Syczą koła Bedforda. Przypieka niewidoczne, zamglone słońce. Rzadka ścierń, wybielona długim latem jeży się na uprzątniętych polach. Niespodziewanie łapię się na myśli, że mimo godzinnej jazdy nie zauważyłem ugorów, owych „stepów" porosłych mietlicą i ostem, które w zeszłym roku ciągnęły się kilometrami. Jeśli migną mi przy drodze zachwaszczone łączki, tyki z wiechami dają natychmiastowe wyjaśnienie — miny jeszcze wyjrzały spod darni. To one nie pozwoliły pykającemu daleko, czerwonemu jak biedronka traktorowi zbałwanić skibami pól aż po horyzont, gdzie w potrzaskanych drzewach świeci kilka świeżo połatanych dachów. W zeszłym roku orano w najbliższym sąsiedztwie zagrody, dziś ścierniska dotarły aż do autostrady wytyczonej przez odludzie.

Entuzjazm jakim dyszały komunikaty, jednakie dziś i rok temu, nie pozwala ocenić postępu. Rok temu i dziś jednako plan orki wykonano w 100%, więc dla czytelnika przepada coroczny dorobek. Entuzjazm dziennikarski przysłonił etapy jesiennych zmagań, których kres teraz oglądam.

Komunikaty od pierwszego dnia były pełne tego samego zachwytu, mogłyby one przekonać przybysza ze środkowej Polski, który włóczy się po Śląsku tej pogodnej jesieni — że wszystko nam przyszło łatwo, gotowe i w idealnym porządku. Jednak trzeba tu było być, by dojrzeć skoki odbudowy, by ogarnąć trud, jaki został podjęty przez bezimiennego chłopa i robotnika. Zdawać by się mogło czytelnikowi gazet, że zawsze było nam świetnie i kwitnąco, gdy naprawdę było piekielnie ciężko i źle. I dziś nam wydaje się po dwóch latach zmagań, że jest dobrze, gdy jest zaledwie nieźle.

Bez maszyn, gnąc grzbiety, siłą ścięgien i mięśni walono wypalone mury, wznoszono nowe i jak czapką nakrywano dachami. Dziś mruczą w halach potulne maszyny. My, kresowi mieszkańcy miast wyjedzonych ogniem potrafimy się szczerze cieszyć dźwigniętym przęsłem mostu, kilometrami sieci wodociągowej, wyrównanym brukiem.

Patrząc na twarze młodych, zuchwałych robotników, jak szkłem powleczone światłami zachodu — nie kłamię entuzjazmu!

Z figlów droczą się z konduktorką gdy domaga się biletu. I oni nie zdają sobie sprawy z ogromu dokonanego dzieła. Z bliska, z dnia na dzień, nie mogą go ogarnąć. To już należy do nas, piszących. Ta banda wiejskich obwiesiów, już zadomowiła się między ruinami i wrasta w Śląsk powoli, przykuta do bliskich im maszyn. Łazików, szabrowników pochwyciły warsztaty, związała ziemia. Jakże dużo się o nich mówi, jakże mało naprawdę robi!

Gdybyśmy zapytali ich, czy czują wzruszenie, że danym im „stąpać na ziemi praojców", po „dziedzinach piastowych", parskną śmiechem i wzruszą ramionami. Więc nie dajmy się załgać. Po wypalonym Wrocławiu krążymy obojętnie, choć zwaliska budowli, poprute bombami nawy kościołów są o wiele patetyczniejsze jak w Warszawie. Dla nas na Dolnym Śląsku wartość ma nie zastane bogactwo, które zachwala mózg i ekonomia, ale to, cośmy wznieśli i umocnili własnymi rękami. To już nie jest po Niemcach! Tego nikomu nie zawdzięczamy, ale sami, całkiem sami, wbrew przeciwnościom, wydźwigaliśmy i skleili własnym potem, bardziej spajającym od przelanej krwi. Nie pytajcie robotników o wzruszenia historyczne, tylko o warsztaty pracy! Wtedy rozjaśnią im się twarze, wtedy potrafią godzinami opowiadać o nocach przestróżowanych, o walce z ogniem, o pracach nad siły, których nie mogą wspomnieć bez westchnienia ulgi, że już zostały odwalone. Potem podniosą oczy na niebo, gdzie dym z komina smukłego powiewa jak flaga zwycięska.

Tylko pracą wiążemy się z ziemią, tylko codziennym trudem bierzemy Śląsk w posiadanie. Czego dotknęły ręce — to jest naprawdę nasze. Błyskają podobne do zwierciadeł szklane dachy fabrycznej montowni, skiba podsychająca kruszy się w słońcu i grzmią traktory na froncie jesiennej orki. Dziś rodzą się do tej ziemi mocne, nieznane dotąd uczucia. Przez pracę nawiążemy do rozgrzebanych cmentarzy piastowskich, które nam próżno pchano przed oczy.

Myślę o młodym pokoleniu, o chłopach i robotnikach, którym tyle się dostało do rąk. Myślę z dumą, ale nie bez troski. Koła syczą po betonie. Awans materialny jest zaledwie częścią tego, czym ich możemy obdarzyć, małą cząstką dóbr, po które sięgną. Myślę o samotności ich marszu. Jednak niewielu z nas zdecydowało się *dobrowolnie* pójść razem z nimi na ziemię niespełnionych obietnic, na ziemię wielkiej nadziei. Dopiero dziś, nasz exodus na zachód, nazywany wzgardliwie — przygodą historyczną — zaczynamy pojmować, jako jedyną szansę, bramę do prawdziwej wolności i potęgi. Klucz mają już oni w ręku — jest nim *praca*.

Z autostrady zjeżdżamy do Legnicy. Najbrudniejsze miasto Śląska. Rynek pełen śmiecia. Piły prowizorycznych tartaczków piją głośno w zabytkowych kamieniczkach. Parszywe sklepiki, szyldy pisane krzywo. Chłopi śpiący na wozach, skarlałe konie, dziwne zaprzęgi. Karawany aut. Gromady faktorów, kręcących się wokół transportów, powracających z terenów okupowanych..

Mętne słońce, zapach sieczki i końskiej mierzwy, stwarza atmosferę wschodniego miasteczka.

To jest tło. Ale nas interesują przede wszystkim ludzie. Spośród wielu problemów, jakie nasunęły mi się w ciągu tych paru miesięcy, gdy objeżdżałem pogranicze, wyłuskam jeden — duszy i ciała. Narzucał on mi się z uderzającą siłą, wypływał wieloma nawrotami w każdej rozmowie. A przeprowadziłem ich dużo z urzędnikami, starostami, księżmi i robotnikami. Łatwo jest przy biurku powtarzać: opieka... Opieka... Właśnie o piekących sprawach chcę mówić.

— Szkół mamy dosyć — pokazuje mi inspektor na planie powiatu. — Źle jest z wykładowcami, co roku gorzej... Przemysł zabiera nam najlepszych pracowników. Tam nie mają po ośmiu godzinach pracy gór zeszytów do poprawiania; nie mówiąc już o pensjach, których nie można porównać. Niedługo trzeba będzie brać, kto się łaskawie zgłosi, ale amatorów nie będzie wielu.

— Skład ludnościowy powiatu?

— Przeważnie repatrianci; element kresowy, trudny do prowadzenia. Dużo młodzieży, która wracając z przymusowych robót w Niemczech, przyrosła do opuszczonych gospodarstw. Ci są najgorsi. We wiosce brak jakiegoś czynnika hamującego, jakiegoś autorytetu, rówieśnik - milicjant nie może go stworzyć.

— A ksiądz?

— Księży brak, zwłaszcza katastrofalnie brak nam katechetów. Tu w mieście wypada na jednego księdza do 40 godzin wykładów na tydzień, nie licząc prac administracyjnych i duszpasterskich. Dzieci nie ma kto przygotować do pierwszej komunii; religii uczą amatorzy, pełni dobrej woli, ale sami dość bezradni.

— Jak wygląda zdrowotność?

— Groźnie. Nawet w szkołach wyłapujemy wypadki chorób wenerycznych, przytajone przez fałszywie pojętą wstydliwość i potworną głupotę. Lekarze są tu zaledwie wskaźnikami niebezpieczeństwa, oni go nie opanują. Uleczenie ciała nie jest żadną gwarancją, niczego tych młokosów nie uczy. Za tydzień pojawiają się z twarzą skruszoną, pełni przerażenia... Zakaz nie może przychodzić z zewnątrz, musi być w nich, jeśli mają go uszanować. Więc leczenie dusz jest równie pilną sprawą. Trzeba obudzić sumienie, zespolić rodzinę. Tu mogliby najwięcej pomóc księża — a brakuje ich!

— Ale co jest główną przyczyną, przecież na wojnę wszystkiego zwalać nie sposób?

— W ciągu pierwszego roku ściągnęła tu młodzież chłopska, kawalerowie z fantazją, zabijacy wiejscy. Z nich rekrutują się po większej części zespoły fabryczne. Dziś już wolą fabrykę, bo przy ziemi trzeba nieustannej pracy, a „jaśnie państwo", oranie niemieckim „bauerem" już się ostatecznie skończyło. Młodzież tę, w dużej mierze zdemoralizowały lata w Niemczech, zwłaszcza okres ostatni. Warunki obozowe, jakie im stworzyli Anglicy, stadne kwatery, obfite jedzenie i zupełne nieróbstwo — popychało ich do rozbojów i prostytucji. Pan przecież wie, jak jesteśmy „kochliwi". Równocześnie szła z kraju druga fala szabrowniczek i handlarek. Każda ich podróż łączyła się z noclegiem w nieznanym mieście, a nocleg z pijatyką i wspólnym łóżkiem. Dopiero teraz zdajemy sobie sprawę z rozmiarów spustoszenia.

Prawdziwa troska widnieje na zbrużdżonym czole inspektora. Wodzę dyskretnie oczami po spodniach wygniecionych na kolanach i postrzępionych rękawach, wiem, że mam przed sobą frontowca. Jednego z tych nielicznych, którzy tu nie zdążyli się obłowić.

— Więc Majdański ma słuszność? — mówię wreszcie.

— Majdańskiego kiedyś się dopiero oceni! Rozumiem jego gwałtowność, to jest bojówkarz! Może razić, ale niepokoi i zmusza do myślenia. Przeraża mnie tylko jego samotność. Literaci nie raczą go zauważyć, a nawet usiłują pomniejszyć błazenadą jego odważne wystąpienia. Jestem pewny, że i pan nie napisze o tym, będzie się pan wstydził! — uśmiecha się drwiąco, ściskając mi na pożegnanie rękę.

Tego samego dnia wieczorem: Żary. Małe, czyste miasteczko, przypominające jakąś Środę czy Wrześnię. Zapada zmierzch. Przez na wpół zsunięte żaluzje ukośne światło z wewnątrz sklepów poczyna świecić na chodniku. Wyroiło się dużo młodych. Spacerują, szepczą. Dziewczęta po kilka, obejmują się za ramiona, chichoczą się w ciemności. W małej, przytulnej kawiarence hałasuje orkiestra. Wszystkie stoliki są zajęte, sama stateczna publiczność, bo tylko piją kawę. Na pustym parkiecie mała, rozbawiona dziewczynka tańczy z psem, który napróżno długimi liźnięciami języka próbuje ją ubłagać. Nad dachami niebo niespokojne, umierające w zwojach, broczące zmiennymi światłami.

Trochę dalej — zupełnie puste uliczki, echo kroków mąci klaskanie skrzydeł gołębi, sadowiących się na gzymsie przed nocą. Wielki, gotycki kościół o rozrzuconej dachówce, zanurza wieżę w ostatnim odblasku. Na drzwiach wisi kartka — „Zabezpieczone przez Gminę wyznania Ewangelicko-augsburskiego". Taka sama na drugim, mniejszym kościółku. Oczywiście funduszów na ratowanie budynków nie ma. Braknie i wyznawców. W myśl ustawy — mienie po protestantach niemieckich przechodzi w ręce polskich protestantów, choćby ten spadek przerastał ich liczebność i siły. Dokoła świątyni wiekowe kamieniczki, pozrastane z murem obronnym. Całe są, nawet mają szyby w oknach, ale, ponieważ w domach bez kanalizacji i wodociągów nikt nie chciał mieszkać, wypełnia się ich wnętrza popiołem i odpadkami. Odbywa się to tak dalece systematycznie, że na schody po rzuconej desce, taczkami wozi się śmieci aż na piętro.

Ksiądz dziekan B., do którego wtargnąłem wraz z nocą, tłumaczy mi dobitnie: — Gnieciemy się

(Dokończenie na str. 3)

W następnym numerze rozpoczynamy dyskusję na temat: Kościół a polityka. Rozpoczyna ją Wilhelm Szewczyk artykułem pt.: Horyzonty zdrady.

„Krakowiacy i Górale"

Państwowy Teatr Śląski w Katowicach wystawił „Krakowiaków i Górali" w doskonałej reżyserii dyr. Krasnowieckiego. Na zdjęciu scena zbiorowa z trzeciego aktu.

ANNA KOWALSKA

Parabole wrocławskie

FUTRO Z LISÓW

Jest wiele książek i filmów, przedstawiających losy przedmiotów, przechodzących z rąk do rąk. Tego niedzielnego przedpołudnia rozmyślałam o wędrówce pieniędzy, nie jakichś teoretycznych, ale moich własnych.

Aptekarz powiedział: „Sześćset złotych zastrzyk, wstydzę się wymienić taką sumę, ale skoro pani kazała szukać, to znalazłem."

Dwadzieścia zastrzyków po sześćset złotych to dwanaście tysięcy — stwierdziłam. — Dwanaście tysięcy — powtarzałam w myśli, jakby przez powtarzanie suma miała stać się mniejszą. Odeszłam, powtarzając: „dwanaście tysięcy". Można by za to zapłacić węgle, kartofle, dług w sklepiku. Doszedłszy do rogu, zawróciłam szybko w stronę apteki. Może zima będzie łagodna, w sklepiku poczekają na pieniądze, a lekarz zapewniał, że zastrzyki pomogą choremu.

Na placyk zajechało auto. Z auta wysiadła szczupła blondynka w futrze ze srebrnych lisów. Dawno już tu w naszych poczciwych stronach nie widziałam równie efektownej elegantki. Weszłam za nią do apteki, usiadłam na ławce. Przyjemnie jest popatrzeć na zgrabną postać, na piękne futro.

Twarz jasna i ładnie malowana, pół dziecinna uśmiechnęła się do aptekarza pieszczotliwie, ale wypielęgnowana ręka oparta o kontuar czyhała drapieżnie. Aptekarz wyjął z dolnej szuflady plik banknotów i liczył. Trwało to długo. Kobieta w futrze śledziła uważnie banknoty, a usta jej poruszały się lekko, jakby się modliła. Ale nie modliła się.

Widziałam przez szybę wystawową jak wsiadała do auta, co za lekkość ruchów, jaka pewność siebie. — Piękna kobieta — zachwycał się aptekarz — szczęśliwa kobieta. Mąż ją ubóstwia. Czego on jej nie kupuje, czego nie zwozi! Jakie dywany, jedwabie! Jeździ co jakiś czas do Berlina i przywozi lekarstwa, ona sprzedaje i ma pieniędzy ile zechce. Te panine zastrzyki to od niej.

— A ona ma ode mnie futro ze srebrnych lisów, a przynajmniej kawałeczek z niego — powiedziałam już za progiem, idąc zaś rozmyślałam, czy to dobrze, czy to źle, że tak właśnie jest.

Mijały mnie młode pary, wracające z kościoła po szeleszczących liściach. Patrzyły sobie w oczy, ściskały się za ręce. Przyspieszyłam kroku, opanowana jedną troską, czy te kosztowne zastrzyki okażą się skuteczne.

PSIE POLE

Zdarza się często, że ktoś z wysiadających na ostatnim przystanku w Karłowicach podchodzi do budki z gazetami i pyta o Psie Pole. Właścicielka, młoda brunetka, ruchliwa jak pliszka, wychyla się przez okienko i pokazuje pytającemu jak ma iść. Tłumaczy gorliwie, jakby jej szczególnie zależało na tym, aby podróżny łatwo i szybko trafił na miejsce.

Przyjemna kobieta z pani Zaleskiej, gdy podaje gościom papierosy, cukierki czy gazetę, nie szczędzi uśmiechu. Konduktorzy mają tu swój moment wytchnienia, może dlatego zdarza się, że tramwaje chodzą tabunami, cztery naraz a potem przez pół godziny tylko wróble przechadzają się po szynach. Nie tylko konduktorzy lubią towarzystwo pani Zaleskiej. Każdy jej rad, jest bowiem coś pokrzepiającego w jej pięknym zdrowiu i życzliwości dla ludzi. Nie wiem, czy istnieją ludzie wampiry, których sama obecność może pozbawić sił, ale na pewno wystarczy porozmawiać z młodą właścicielką budki, aby nabrać trochę energii i radości, bez której nie ma prawdziwego zdrowia. Kiedy zaś patrzy na swego synka, to aż jaśniej się robi na świecie, tyle wesela i radości bije z jej twarzy.

Jednego popołudnia przystanęłam przy budce, by kupić pigw, kiedy jakiś drągal o skrzywionym nosie zbliżył się do budki i zapytał: — A Psie Pole u was, to gdzie?

Moja miła pani Zaleska wychyliła się z budki i jak nie wrzaśnie: — Psie Pole? Wszędzie teraz jest tu psie pole. O, dziecko mi pies pokąsał. Rączka mu puchnie, jeszcze nieszczęście będzie.

Drągal wzruszył ramionami i odszedł. Parę osób czekających na tramwaj przytaknęło pani Zaleskiej. Tak, naprawdę jednego dnia będzie nieszczęście. Gromady psów wałęsają się po ulicach i polach Karłowic. Wieczorami przejść nie można, a w nocy wyją jak na tureckiej wsi.

OKRUTNA JESIEŃ

Patrzyłyśmy na platany, rosnące przed zrujnowanym pałacykiem, ogromne i nad wszelkie słowa wspaniałe! Mademoiselle Rose zadzierała głowę i kazała mi patrzeć to na tę, to na tamtę gałąź, wyciągniętą patetycznie w wysokie lazury. Nie wiadomo co było piękniejsze, centkowane konary, czy migotliwie lśniące liście.

— C' est beau l' automne — zdumiała się panna Rose i ja się zadumałam nad pięknością alchemii nieba i ziemi. Nie wstydziłyśmy się banalności tych stwierdzeń: byłyśmy same.

Myślałam o tym, że te platany i lawendowa mgiełka zasnuwająca horyzont, przypominały ojczyznę panny Rose, ale nie śmiałam o tym wspomnieć. Mimo żywości jej spojrzenia, a nawet delikatnych rumieńców, panna Rose była dotknięta bezlitosną chorobą i groził jej powrót do ojczyzny wszystkich ludzi, a nie do słodkiej Francji.

— Ładny pałacyk, bogacze musieli tu mieszkać! — Panna Rose, sama biedna, lubiła bogactwo i bogaczy. Bogactwo łączyło się u niej z pojęciem piękna.

Pałacyk był w stylu brzydkiej wspaniałości lat dziewięćsetnych: marmury, złocenia, ozdobne kraty balkonów. W jednym z balkonów ukazał się na chwilę obłoczek i uleciał jak westchnienie.

Zawyła syrena fabryczna. Popatrzyłam na zegarek. — Mamy czas. Doktór przyjmuje za pół godziny — uspokajałam.

Panna Rose odsunęła ręką ten temat. Przez pół godziny ma urlop od rzeczywistości. Przez pół godziny chce nie pamiętać na tyle ile da się nie pamiętać, o tym, że będzie się musiała poddać operacji, a potem trzeba będzie umierać, żmudnie i trudno, szukając smutnej pociechy w morfinie.

Przez czterdzieści lat Mademoiselle Rose uczyła po polskich domach nieregularnych czasowników i poprawiała swoim pupilkom akcent gdy czytały Les malheurs de Sophie. Przyszły czasy bardziej nieregularne od najnieregularniejszych czasowników, a na jasnowłose pupilki i ich nauczycielkę spadły nieszczęścia nieprzewidziane przez madam de Ségur.

— Patrz, jaka śliczna — chwyta mnie za ramię. — Istotnie śliczna jest ta jaszczurka na pniu oblanym słońcem. — Ale o tej porze zwykle już nie widać jaszczurek — płoszy się nauczycielka, nagle zatroskana, czyżby i w świecie przyrody coś zaczynało odbiegać od dawnego ładu?

— Mogłabym tu godzinami całymi przesiadywać — zapewnia, ale właśnie w tej chwili obie wstajemy z ławki i wchodzimy w małą alejkę wysokich jałowców. Między konarami zawisł jakby złocisty pył — to słońce zachodzi.

Alejka wiedzie nas pod pałacyk od strony białego, szerokiego tarasu. Trawa tu świeża jak w maju, a zacisznie, jakby się weszło w sen. Opodal dwie dziewczynki zbierają kasztany, śmieją się biegają jak wiewiórki. Torby z książkami złożyły na postumencie. Zadumana biała bogini patrzy na park, na dziewczynki, na nas. Rękę zasłaniającą piersi zestrzelił pocisk, stoi bezbronna, samotna i jakby obłąkana wśród tych ruin.

Usiadłyśmy w szpalerze. Panna Rose częstuje mnie miętowym cukierkiem. Milczymy, za nami zeschłe liście szeleszczą złowrogo.

— Gonią jak szalone, jeszcze się przeziębią — niepokoi się panna Rose — takie piękne popołudnia jesienne są zdradliwe. — Pamiętam... i opowiada o ślicznej uczennicy, która zaziębiła się w takie właśnie popołudnie i umarła na galopujące suchoty. Panna Rose otula szyję szalikiem, jakby to ją miało ochronić przed złem.

Dziewczynki nie widzą nas. Bawią się tak, jak się bawią dzieci, gdy czują się same: z powagą, skupieniem i jakimś szaleństwem.

Oto chwyciły się za ręce i kręcą się, wirują. Błyszczą w słońcu ich złociste włosy, furkoczą plisowane granatowe sspódniczki.

— C' est beau la jeunesse — rozpacza mademoiselle Rose. Chwyta moją rękę i ściska mnie, jakby się żegnała. Jakiż świat jest piękny, gdy się go traci! Podnosimy się z ławki. Tym razem już czas. Trzeba iść do doktora. Liście szeleszczą pod nogami. Cieniutka biała nić babiego lata zawisła przed nami. Zatrzymujemy się. Niech poleci, niech nas minie. Nie chcemy jej przerwać, jakby to była nić Parki.

Na zakręcie panna Rose obraca się i patrzy na ławkę, czy czegoś nie zostawiła.

GŁOS ODBUDOWY

Po przeżyciach wojennych każdy hałas, zgrzyt, świst jest przykrością. Jednak gdy wejdziesz na plac Uniwersytecki i zostaniesz objęty stukaniem młotów, pojękiwaniem stalowych lin, to uśmiechniesz się i przystaniesz, jakbyś słuchał pięknej muzyki.

Głos odbudowy! Miły to głos dla ludzi dobrej woli, ale nawet oni, aby móc się cieszyć, muszą zapomnieć o przestrzeniach milczących martwo ruin, których nie — odbudować, ale nawet — zburzyć się nie da. Ogrom zniszczenia zdaje się drwić z odbudowy kilku gmachów.

Przechodźmy wąską kładką dnia dzisiejszego, dnia odbudowy między brzegiem okrutnego wczoraj a tajemniczego jutra. Może wiedza Kasandry nazwie radość z odbudowy lekkomyślną naiwnością — trudno, zaryzykowawszy tyle, możemy zaryzykować jeszcze tę małą radość. Anna Kowalska

WACŁAW MROZOWSKI

Sierpień 1945

Jak wabiąca spojrzeniem cyganka,
którą raz się spotyka na drodze
i pamięta, — tak któregoś ranka
to miasteczko spotkałem
i zwabiło — zapamiętałem
i znów przychodzę.

Wspominałem je daleką łuną,
jaką z okna się widzi czasami,
cichą, najcichszą struną
zasłyszaną przed dwoma latami.

Wtedy w sierpniu wśród róż i wystrzałów
zachód słońca jak wino czerwony
i wspomnienie jak cięcie zostało:
salutujące ci klony.

Dziś już wrzesień. Dwa lata przepadły,
pajęczyną czas ubiegły snujem,
zachód słońca jak błysk złotej szpady:
dziś poeta tobie salutuje.

To miasteczko w zieleni tonące
ma różowe jak twarz dziecka lica,
cicho tulę je do piersi drżące, —
powiedz jak masz na imię?

— Świdnica.

Co robią Niemcy

Likwidacja pruskości widziana z dwu perspektyw — Granice patriotyzmu.

Dziewczyny w przebraniu mężczyzn, których w Niemczech brak, tańczą.

Sprawa Prus, które, choć zlikwidowane prawnie, wciąż jeszcze pokazują się w wielu dziedzinach życia niemieckiego, nie przestaje być tematem dyskusji lub nawet sporów. Pogłębiający się antagonizm między południowymi Niemcami a Prusakami, podsycany umiejętnie w prasie, jest według Amerykan i Anglików najlepszym sposobem likwidacji Prus. Likwidacja przez ośmieszanie, wykazanie nicości moralnej, wreszcie przez ustawy antypruskie, wprowadzone w życie np. w Bawarii. Polityka sowiecka inną przyjęła receptę likwidacji Prus. Ale o tym nieco niżej. W każdym razie stwierdzić można, że o ile metoda ośmieszania świetnie bawi cudzoziemców, to w Niemczech sama stała się powodem do drwin. Że wspomnę tylko osławione bawarskie rozporządzenia o zakazie małżeństw południowych Niemców z północno niemieckimi blondynkami, więc antyrasizm będący jednak sam w sobie nową teorią rasistowską, mówiącą tym razem o wyższości umysłowej i fizycznej — Bawarczyków.

Pewien profesor nazywający się dr Wilhelm Schöneck ułożył w „Stuttgarter Zeitung" tablicę, porównującą Prusaków z południowymi Niemcami. Tablica nosi tytuł: Bilans. Oto ona:

Zalety połud. Niemców	Błędy połudn. Niem.	Zalety Prusaków	Błędy Prusaków
1. 60 % württemberczyków mieszka we własnych domach.	Żadne	Żadne	1. Berlin, to centrum murowanego bałaganu, znajdującego się w niewiadomo czyich rękach oraz pstrokaciny kulturalnej.
2. Ich finanse państwowe były długie lata w najlepszym porządku.			2. Po większej części wygłodniali, podczas gdy inni „żyli w pokoju i dobrobycie".
3. Monarchowie ich wychodzili na spacer do miasta w cywilnym ubraniu i z dwoma białymi psami.			3. Monarchowie ich pokazywali się przy szabli podczas parad wojskowych.
4. W ich kraju stanęły wyniosłe budowle średniowieczne oraz dumne pomniki wolnego zmysłu mieszczańskiego.			4. Przybyli oni do nas bez potrzebnego powodu i ze śnieżystymi kwestionariuszami w ręce.
5. Kontynuacją życia była zapewniona od dziesiątek lat, kryzysy przebiegały łagodnie i żyło się lepiej niż gdzie indziej.			5. Prawie w każdym urzędzie miało się do czynienia z Prusakiem, który władał tonem fryderycjańskim.

Tablica zawiera kilka innych jeszcze punktów, wszystkie one zmierzają do wykazania, jacy to dobrzy są południowi Niemcy a jacy okropni Prusacy. Ostatecznie synonimem prusactwa w południowych Niemczech stała się komenda wojskowa, kwestionariusz i najbrzydsze miasto świata — Berlin.

Tymczasem w Berlinie, istniejący przy magistracie urząd dla ochrony pomników po dwuletniej blisko pracy próbnej, zdecydował się rozpocząć walkę z pozostałościami pruskości i na tym odcinku. Lista przedstawiona przez wspomniany urząd magistratowi zajmuje się dalszymi losami pomników na terenie Berlina. Wojna zniszczyła wiele pomników o wysokiej wartości artystycznej, a obeszła się po ojcowsku z niejednym kiczem. Według projektu wspomnianego urzędu, likwidacji ulegnie słynna Aleja Zwycięstwa (Siegesallee). Ze względów historyczno-artystycznych w muzeum znajdą schronienie jedynie posągi Albrechta Niedźwiedzia, Fryderyka Wilhelma II oraz pięć biustów portretowych. W Tiergartenie zostaną pomniki Lortzinga, Goethego i Lessinga. Natomiast zniknie ogromny pomnik kompozytorów oraz rodzinne pomniki Hohenzollernów. Dotąd jednak nie ustalono, co ma się stać z pomnikami Wagnera, Bismarcka, Moltkego i Roona. Część prasy, wychodząca w niesowieckich sektorach Berlina, z oburzeniem odnosi się do całej tej akcji a co do ostatnich pomników uważa, że są one „dumą nie tylko samych Niemiec, lecz całej Europy, bo przecież nikt nie zaprzeczy, iż byli to co prawda Niemcy, ale wielcy Europejczycy" (Der Kurier). W czasie wojny niektóre pomniki berlińskie chroniono przed bombami w wysokim futerale z betonu. Dziś usuwa się tę ochronę. Ale postanowiono jej na razie nie usuwać z pomnika Fryderyka II, bo widocznie nie chce się pomnika niszczyć. Stoi ciągle jeszcze pompatyczny i bez najmniejszej wartości artystycznej tzw. narodowy pomnik Wilhelma I, zbudowany w równie pompatycznej erze Wilhelma II. Stoi i nie rychło zostanie zburzony, gdyż, jak obliczono, ... koszty zburzenia tego pomnika są zbyt wielkie. Czystka pomnikowa z tych lub innych względów nie objęła jeszcze wielu kamiennych pamiątek wojennych, a już pojawiły się wiadomości, że urząd dla ochrony pomników, zajmujący się ową czystką, rozleci się, gdyż kierownicy tego urzędu ... nie czują się na siłach podołać dalszej pracy.

Likwidacja pruskości widziana, jak tu podałem, z tak dwóch różnych perspektyw, może się nam wydać dość powierzchowna i zewnętrzna. Nie trudno przypuścić, że istnieje jeśli nie kontrakcja, to przynajmniej jakaś zbiorowa psychiczna reakcja, utwierdzająca wielu Niemców w przekonaniu, że pruskość nie była nieszczęściem dla Niemiec, a w obecnej sytuacji, umiejętnie rozprowadzana w życiu, może Niemcy uratować. Wychodząc z tego założenia, sowieckie władze okupacyjne walkę z pruskością przeniosły w zupełnie inne dziedziny. Nie przejmując się zbytnio zewnętrznymi pozostałościami pruskości, przeciwstawiają się jej głównie przez polityczne wychowanie narodu niemieckiego. Według koncepcji sowieckiej, jedynie zjednoczone, centralnie rządzone Niemcy, roztaczające jednolitą kontrolę nad wszystkimi dziedzinami życia niemieckiego, będą mogły sobie poradzić z cieniem pruskim, rzuconym na historię, obyczaj i materialną kulturę Niemców. Wyznając ten dalekosiężny cel, dążą do jego urzeczywistnienia zarówno przez odpowiednie uświadamianie polityczne mas niemieckich, głównie przez SED, jak i przez akcję na terenie polityki międzynarodowej.

Pojedynek o sposoby likwidacji Prus jest zatem także pojedynkiem między federalizmem a centralizacją. Niechby Bawarczycy w różny sposób ośmieszali Prusaków, nic nie zmieni faktu, że i tam na południu Niemiec pruski styl życia zadomowił się, zwłaszcza w okresie ostatnich lat hitlerowskich, dość silnie. I tam przed żołnierzem amerykańskim w urzędzie okupacyjnym staje się na baczność i ze służalczym uśmiechem wypełnia się kwestionariusze, w których biurokratyzm bawarski lubuje równie mocno jak i pruski. I tam pielęgnuje się historię wojen, co prawda nie o całość Niemiec ani nie przeciw obcym narodom, lecz wojen toczonych z innymi szczepami niemieckimi. „Chwała Bawarczyków jest chwałą Europy, bo Bawarczycy dążyli zawsze do rozbicia pruskich Niemiec" — chełpią się na południu. Ale wszystko to nie przeszkadza faktowi, że tam na południu w rezerwacie bawarskim, w cieniu wszystkich szlachetnych antypruskich rozporządzeń, w chwili wielkiej separatystycznej próby, kwitnie faszyzm w najbardziej pruskiej postaci. Wszystko to dowodzi zaś, że rzeczywiście Niemcom potrzebna jest jednolita kontrola w imię pewnej wspólnej koncepcji politycznej; aby nie nazywało się patriotyzmem to, co gdzie indziej jest zwyczajną ordynarną pruskością. Bój o jedną, jednakową miarę dla Niemiec jest także bojem o pokój i szczęście Europy.

WISZ.

Pismo tygodniowe Łużyczan „Nowa Doba" zamieszcza w Nr 1 z sierpnia 1947, w miesięcznym dodatku literackim „Nowa Łužica" — artykuł znakomitego malarza i poety łużyckiego — Marcina Nowaka — Njechorńskiego, który tutaj podajemy w całości.

MARCIN NOWAK-NJECHORŃSKI

Zadania pisarza łużyckiego

W postępowaniu przeciwko ludności zdobytych krajów słowiańskich faszyzm niemiecki trzymał się zasady: wytępić inteligencję słowiańską, zniszczyć kulturę narodów słowiańskich i wykorzystać lud prosty jako niewolników, traktując go jako bydło robocze. Według tej samej zasady postępowali również naziści wobec ludu łużyckiego, kiedy w r. 1933 zagarnęli władzę. Pierwsze posunięcia władz hitlerowskich skierowane były wtedy w inteligencję łużycką. Prześladowano inteligentów łużyckich, wsadzano ich do więzień i obozów koncentracyjnych, wyrzucano z posad i pracy albo przenoszono na obczyznę, o ile byli urzędnikami państwowymi. Z działaczami łużyckimi z ludu we wszystkich wypadkach obchodzono się łagodnie. Odpowiadało to linii wytycznej hitlerowców: „Zniszczymy inteligencję, a lud łatwo zdobędziemy!"

Inteligencja łużycka przetrwała brunatne piekło i doczekała się rozbicia faszyzmu i zwycięstwa porządku demokratycznego także w naszym kraju. Nie przetrwała jednak jednak tej doby prześladowań bez szkody i straty. Nie dająca się ubłagać śmierć zabrała nam niektórych z naszych najlepszych mężów, których dziś jeszcze nie można zastąpić. Innych straszny los złamał i stępił tak, że dziś już nie mogą z taką mocą i radością pracować jak kiedyś. Część z nich też, zaskoczona groźbami hitlerowców, dała się zmusić do członkostwa partii hitlerowskiej i dziś pokutuje za ten błąd przymusowym bezrobociem. Przez zniszczenie naszych instytucji kulturalnych i wykształceniowych uniemożliwione zostało wychowanie dorastających. Stoimy dziś więc w dziedzinie kultury duchowej, rzec można, na ruinach i musimy znowu budować zupełnie od fundamentów.

Nieliczna garść pisarzy łużyckich podzieliła ów los powszechny. Niemcy związali ręce łużyckim pisarzom jako jednym z pierwszych, zabronili im pracy pióra, rzucili do więzień, lub postawili pod ostry nadzór.

Przez zniszczenie łużyckiego dziennikarstwa, wydawnictw łużyckich oraz drukarni odebrali im zresztą i bez tego możność publikowania swych utworów. Niektórzy wprawdzie próbowali rozprzestrzeniać swe prace w rękopisie, a nawet pisali w językach obcych, ale próby takie nie mogły mieć wielkiego znaczenia. Podczas wojny hitlerowskiej, kiedy prześladowanie Łużyczan doszło do szczytu, zamilkli na dobre też ostatni nasi pisarze, których po części zmuszono do wstąpienia do wojska.

Nie mogła tak szybko odrodzić się literatura łużycka po radosnym przewrocie w maju r. 1945, kiedy zginęła bestia faszystowska. Surowa śmierć wzięła nam niektórych spośród naszych najlepszych: żywiołowego publicystę i poetę Jana Skalę, prozaików Lorenca-Zalewskiego i Domaszkę, także poetę i kompozytora Jurija Słodeńka. Inni dopiero później wrócili z wojska i niewoli, pozostali milczeli i jeszcze milczą. Główną przyczyną tego milczenia jest chyba to, że dotąd nie mieli możności publikowania owoców swej pracy, gdyż nie było łużyckiego dziennikarstwa, nie było także łużyckich czasopism ani łużyckich wydawnictw i drukarni. Nie mogliśmy też oczekiwać młodych pisarzy i poetów spośród generacji, która nie otrzymała przez bezmała 15 lat wykształcenia w języku macierzystym.

Mamy dziś znów swoje łużyckie pismo, tygodnik „Nowa Doba", który prędko przemieni się w dziennik i do którego po pewnym czasie może dołączą się dalsze czasopisma łużyckie. Wydajemy jako miesięczny dodatek literacki „Nową Łužicę", która chce przejąć kierunek dawnego miesięcznika „Łužica", łącząc go z duchem postępowym nowej doby. Pisarz łużycki ma więc już i w przyszłości będzie miał organ, w którym może mówić do ludu łużyckiego, drukując w nim swoje utwory. Urządzimy sobie swoją drukarnię, rozbudujemy wydawnictwo łużyckie, które będzie drukować i wydawać książki łużyckie. Łużycki pisarz już nie jest potępiany z racji milczenia i próżniactwa. Lud łużycki czeka na niego, łakomy owoców rodzimego piśmiennictwa.

Niedawno temu pisarze łużyccy odnowili starą sławną organizację „Koło pisarzy łużyckich". Roztrząsali też i zajęli się poważnie zadaniami łużyckich pisarzy, które są bardzo trudne, obszerne oraz odpowiedzialne. Barbaryzm hitlerowski zahamował przecież cały nasz rozwój kulturalny, przemocą zdławił nasze życie kulturalne. Przez rozbicie skromnego szkolnictwa łużyckiego zepchnął młodą generację na stopień analfabetyzmu, o ile chodzi o język ojczysty. W czasie panowania hitlerowskiego zepsuł się pogardzany i terroryzowany język łużycki oraz zakaził obcymi przymiotami i słownymi zapożyczeniami. Tutaj czeka na łużyckiego pisarza wielkie i ponad miarę ważne zadanie: oczyszczenia naszej mowy oraz podanie ludowi słowa pisanego w jak najlepszej formie języka macierzystego. Warunkiem jest naturalnie to, by pisarz sam opanował jak najlepiej słowo i formę swego języka macierzystego, aby umiał umiejętnie stwarzać i wprowadzać nowe wyrazy i powiedzenia, tak, aby nasza mowa robiła postępy i doskonaliła się. I do tego naturalnie potrzebne jest, by pisarz sam lub razem z towarzyszami kształcił się i wydoskonalał w swoim języku ojczystym, aby czytał pisma naszych dobrych, starych pisarzy i, aby także zbierał „wyrazy" wśród samego ludu. Zbiory łużyckich powieści, przysłowi, powiedzeń i pieśni mogą być dla niego skarbem dobrego języka łużyckiego. Przede wszystkim zaś musi pisarz łużycki nauczyć się przynajmniej jednego ze słowiańskich języków, aby mógł czytać dzieła wielkich pisarzy słowiańskich w języku, w jakim zostały napisane. I dobrze będzie, jeśli potem przetłumaczy coś z tych języków na język łużycki...

Atoli do zadań współczesnego łużyckiego pisarza nie należy samo przyswojenie i podawanie w jak najlepszej formie języka łużyckiego. Pisarz zawsze i wszędzie był wychowawcą i wodzem duchowym swego narodu. Łużycki pisarz nie może się uchylić od tego zadania, zwłaszcza w dobie dzisiejszej. Zgubne, fałszywe wychowanie niemieckie ostatnich zwłaszcza dziesiątków lat — po części zdemoralizowało też nasz naród. Dlatego to i nasz lud jeszcze tu i ówdzie tkwi przy antypostępowej ciemnocie i reakcji. Odwleka tym samym chwilę dołączenia się do narodów przodujących na drodze postępu i demokracji. Tu więc pisarz, jako najbardziej odpowiedzialny postępowiec, ma święty obowiązek budzić i dodawać bodźca ludowi, przekonywać go do nowych ideałów i wieść po nowych drogach i nowych kierunkach. Najenergiczniej winien pisarz wojować z pozostałościami reakcji; tutaj nie wolno mu uwzględniać niezrozumienia, lub dawnych animozji i przeciwieństw. Postęp winien być jego tarczą.

Takie jest zadanie łużyckiego pisarza dziś i jutro. Trudne to zadanie, a może i poniekąd cierniowa droga, po której ma kroczyć, ale jest to też zarazem piękne powołanie — prowadzenie i dążenie naprzód na drodze, u której zaznaczonego kresu czeka nasz naród łużycki lepsza przyszłość.

Marcin Nowak-Njechorński

WŁADYSŁAW BŁACHUT

Sprawa bibliotek publicznych

Na jednym z posiedzeń pod koniec września br. Rada Państwa, pod przewodnictwem P. Prezydenta R. P. Bolesława Bieruta, podjęła m. in. uchwałę w sprawie bibliotek publicznych. W wykonaniu postanowień ustawy bibliotecznej z ubiegłego roku, Rada Państwa postanowiła powołać do życia przewidziane tą ustawą komitety biblioteczne przy terenowych Radach Narodowych, asygnować pewne fundusze (na razie skromne 14 milionów zł) na cele rozbudowy sieci bibliotek publicznych a w szczególności ufundować 250 bibliotek gminnych na Ziemiach Odzyskanych.

Jakkolwiek wiadomość tę nasza prasa codzienna podała w formie lakonicznej i na poślednim miejscu, to jednak sprawa dotyczy tak ważnego dla rozwoju życia kulturalnego w kraju zagadnienia, że nie będzie od rzeczy problemem czytelnictwa i sprawą bibliotek publicznych zająć się na tym miejscu. Tym więcej, że wentylowane ostatnio dość szeroko w prasie ogólnopolskiej zagadnienia: „Jak dostarczyć na wieś słowo drukowane?" i „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?" obracały się na ogół w sferze ogólników i nie przyniosły — jak wiadomo — praktycznych rozwiązań. Dyskutantom chodziło bowiem raczej o sprecyzowanie upodobań i postulatów *przyszłych* czytelników wiejskich pod adresem twórców literatury pięknej, popularnej i fachowej lub instytucji wydawniczych i kolportażowych, gdy tymczasem w naszej sytuacji należało najpierw omówić praktyczne założenia zwiększenia czytelnictwa w najszerszych kołach naszego społeczeństwa, tj. w szeregach robotniczych i chłopskich, które — jak dotąd — nie przejawiają znaczniejszych zainteresowań bibliofilskich.

Dla uważnego obserwatora naszych stosunków kulturalnych problem czytelnictwa wśród robotników i chłopów przedstawia się dziś dość niepokojąco i wyraźnie można zaobserwować zjawisko małej konsumpcji słowa drukowanego w tych środowiskach. Ten smutny stan rzeczy jest prostą konsekwencją nikłej ilości książek *w środowiskach robotniczo - chłopskich.* Jest bowiem rzeczą stwierdzoną, że książka z trudem zdobywa pierwsze pozycje na odcinku robotniczym, ale bardzo nieśmiało i z ociąganiem się zagląda pod chłopską strzechę.

Na starych ziemiach niszczył ją systematycznie okupant, chronił bez przekonania i w nieodpowiednim miejscu robotnik czy chłop a wreszcie upływ czasu robił swoje. W chaosie rozgrywających się wydarzeń niejeden zapomniał o książce i tym samym skazał ją na zagładę. Wprawdzie na Ziemiach Odzyskanych książka w znacznej mierze zdołała się oprzeć niszczycielskim wpływom wojennej zawieruchy, jednak po opuszczoną w okresie ruchów migracyjnych sięgnął element niepowołany i użył w celach nieraz bardzo dalekich od jej właściwego przeznaczenia. Ta zaś co się zdołała uratować, choć może skądinąd rzadka i cenna, przedstawia jako w obcym napisana języku, dla interesujących nas środowisk robotniczo-chłopskich niewielką wartość.

Zważywszy, że skalkulowana za drogo jak na chłopskie czy robotnicze kieszenie, książka polska w znikomych ilościach zasila księgozbiory prywatne i publiczne w interesujących nas środowiskach (zresztą nabyta „prywatnie" bywa pieczołowicie trzymana w ukryciu), musimy dojść do przekonania, że bez interwencji czynników odpowiedzialnych za rozwój kultury Narodu, odbudowa zanikającego czytelnictwa w ośrodkach robotniczych i chłopskich byłaby rzeczą nader trudną i musiałaby być rozłożona na długie lata.

Interwencja ta przejawiła się w formie dekretu (z mocą ustawy) Prezydium Krajowej Rady Narodowej z dnia 17 kwietnia 1946 r. o bibliotekach i opiece nad bibliotekami (Dz. U. R. P. Nr 26 poz. 163), ogłoszonego i obowiązującego od dnia 18 czerwca 1946 r.

W myśl tego Dekretu biblioteki i zbiory biblioteczne, będące własnością lub znajdujące się w posiadaniu obywateli polskich, uznaje się — jakże słusznie — za narodowe mienie kulturalne, powołane do służenia dobru ogólnemu. Celem prowadzenia w społeczeństwie jednolitej działalności kulturalnej za pomocą książki i biblioteki oraz umożliwienia każdemu obywatelowi korzystania ze zbiorów bibliotecznych całego kraju, Dekret przewiduje utworzenie ogólnokrajowej sieci bibliotek publicznych, utrzymywanych przez Państwo lub inne związki publiczno-prawne. Dekret w trosce o rozwój kulturalny jak najszerszych warstw Narodu idzie tak daleko, że przewiduje włączenie do sieci bibliotek publicznych również zbiorów i bibliotek prywatnych i to nawet bez zgody ich właścicieli choć za odpowiednią opłatą. Biblioteki włączane do sieci bibliotek publicznych mają służyć dobru i pożytkowi publicznemu, a to przez gromadzenie, zabezpieczanie i udostępnianie swych zbiorów bezpośrednio lub drogą międzybibliotecznego wypożyczania (rodzaj bibliotek wędrownych).

Naczelny nadzór i opiekę nad bibliotekami ma sprawować minister oświaty, który też ma wydać przepisy wykonawcze w tym kierunku. (Jak dotąd — to jeszcze ich nie wydał.) Organem doradczym a równocześnie reprezentacją czynnika obywatelskiego przy ministrze oświaty ma być Państwowa Rada Biblioteczna, której odpowiednikiem w terenie mają być wojewódzkie, powiatowe i gminne (wiejskie i miejskie) komitety biblioteczne przy terenowych radach narodowych. Do tych miejscowych komitetów bibliotecznych wchodzą przedstawiciele:

a) miejscowych stowarzyszeń oświatowych,

b) miejscowych organizacji zawodowych nauczycielskich,

c) przedstawiciele działających ew. na terenie danej miejscowości bibliotek publicznych,

d) miejscowych organizacji społecznych.

Do zakresu działania komitetów bibliotecznych należy:

1) opiekowanie się bibliotekami powszechnymi i szkolnymi oraz — co nas najwięcej interesuje — rozwojem czytelnictwa na terenie danej gminy,

2) harmonizowanie działalności bibliotek i dbanie o zaspokojenie potrzeb społeczeństwa w zakresie słowa drukowanego,

3) opiniowanie budżetu na potrzeby bibliotek i czytelnictwa na terenie gminy.

Działalność komitetów bibliotecznych będzie przejawiać się na zewnątrz przez sieć bibliotek publicznych. Nasza ustawa biblioteczna przewiduje trzy rodzaje bibliotek, a mianowicie: biblioteki szkolne, powszechne i naukowe. Interesujące nas najbardziej biblioteki powszechne mają w myśl postanowień Dekretu służyć czytelnictwu w najszerszym zakresie, wychowaniu społecznemu, kształceniu ogólnemu i zawodowemu oraz kulturalnej rozrywce wszystkich obywateli, zamieszkałych na terenie danej gminy czy gromady. Dla wykonania tych zadań każda biblioteka powszechna powinna posiadać księgozbiór dla dorosłych, odrębny (jakże daleka przed nami droga ...) księgozbiór dla młodzieży i dzieci oraz czytelnię zaopatrzoną w czasopisma bieżące. Między poszczególnymi bibliotekami winna panować ścisła współpraca a w szczególności biblioteki

(Dokończenie na str. 4)

Przegląd prasy niemieckiej

DER TAGESSPIEGEL

Artykuł w „Frankfurter Hefte", z którego „Der Tagesspiegel" podał nam w numerze 165 to, co najistotniejsze, mianowicie w art. pt. „Niemiecko-polski problem", porusza zagadnienie, które spośród wielu wysuwa się na czoło. Pytanie autorów: czy należy wiecznie obstawać przy owym błędnym kole zła? jest pytaniem o los Europy i nie jest nowe. Nie postawił go żaden chłystek, lecz Clemenceau odnośnie stosunków niemiecko-francuskich, a mianowicie przemawiając w senacie w dniu 10 lutego 1912. Powiedziano tam: „W interesie cywilizacji leży, ażeby konflikty (o Ren) znalazły jakiś koniec ..., ale to będzie tylko wtedy możliwe, jeśli znajdzie się zwycięzca, większy niż jego zwycięstwo, zwycięzca, który będzie bohaterem umiaru. Napoleon tym bohaterem nie był, a Niemcy tak samo nie". Dzisiaj możemy dodać: Clemencau, gdy los powierzył mu tę rolę, nie był tym bohaterem. Czy nie mamy tu do czynienia z jakąś fatalną koniecznością, z jakimś „błędnym kołem zła", z którego nie ma wyjścia? Clemencau wspomniał w innym miejscu swego przemówienia o fatalite historique, która „zmusza narody na mocy jakiejś właściwości duchowej, która stworzyła dla nich historia, postępować w myśl jakiegoś ustalonego sensu (sens determine)" Jeżeli determinizm ten uznać za prawo, wtedy — dalibóg — wszelki trud skazany jest na bezowocność. Dobra wola była po pierwszej wojnie światowej po obu stronach, istnieje także dzisiaj, tylko że wobec tego, co się stało, znacznie trudniej przychodzi jej wzbudzić posłuch. Niemiecka opinia publiczna o wiele za mało wie o barbarzyńskich okropnościach na ziemiach okupowanych. Także Francuzi mają swoje Lidice, i to stanowi dla nas straszliwy pomnik hańby. Jeżeli pomimo to wszystko głosy czytelników w gazetach francuskich mówią o zgodzie współpracy, takiego śmiałego przyznawania się do człowieczeństwa nie można nawet w dostatecznej mierze ocenić, wymaga ono wzajemności z naszej strony. Do tego jednak będziemy tylko wtedy zdolni, jeżeli w pierwszym rzędzie będziemy nie Niemcami, ale ludźmi, a jeszcze lepiej: chrześcijanami, wszystko jedno, czy ten chrystianizm będzie związany z kościołem czy też humanitarnie wolny. Ludzie o chrześcijańskiej substancji nie potrafią żyć deterministycznie, albowiem wierzą w miłość i która to, co stare, pozostawia przeszłości i stwarza „nową kreaturę". Istnieje międzynarodówka tych, którzy posiadają dobrą wolę, i dopiero wtedy, gdy ta duchowa wspólnota do do tego stopnia stanie się silna, że ujarzmi nacjonalizm, ten fundament zła we współżyciu narodów, eksponenci narodów staną się tymi mężami stanu, tymi „bohaterami umiaru", na których pokojowa Europa buduje swoje nadzieje".

(Głos dra Paula Schwiderskiego z Berlina — Wilmersdorfu).

DAPHNE DU MAURIER

IV)

Generał Jego

Następnego rana padał deszcz, ale w późniejszych godzinach słońce wyjrzało zza niskich chmur i oznajmiłam Matty zamiar wyruszenia z domu.

Żona Janka Rasleigh, Joan wyszła razem ze mną. Namówiłam ją bez trudu, by najpierw popchnęła mój fotel popod sklepioną bramą do zewnętrznego dziedzińca, gdzie udałam, że przyglądam się domowi po to, by określić z zewnątrz położenie mojego locum. W rzeczywistości zaś obserwowałam konstrukcję szkarpy, która sięgała, jak już mówiłam, na całą wysokość domu, w północno-wschodnim jego rogu. Tuż poza nią znajdowało się okratowane okno tajemniczego pokoju.

Szkarpa miała, licząc na oko, nie więcej, jak cztery stopy szerokości. Ale jeżeli poza masywnie wyglądającą ścianą wewnątrz była pusta, mogła z łatwością pomieścić w sobie wąskie schody. Jednakowoż nie było w niej widać żadnego wyjścia na dziedziniec. To było pewne. Jeśli by moje przypuszczenie miało być słuszne, schody wewnątrz szkarpy prowadziły głęboko pod ziemię, dużo poniżej fundamentów domu, do korytarza, który by wiódł do jakiegoś ukrytego wyjścia w pewnej odległości od domu.

Opuściłyśmy zewnętrzny dziedziniec i przeciąwszy królikarnię, wyszłyśmy na ścieżkę, przechodzącą koło domku rządcy. Drzwi domku były otwarte, a pani Langdon, żona rządcy, która właśnie stała na progu, zaczęła mnie namawiać na wypicie szklanki mleka. Gdy odeszła po mleko, rozejrzałyśmy się po pokoju, a Joan ze śmiechem pokazała mi pęk kluczy, wiszący na gwoździu koło drzwi.

— Stary Langdon wygląda, jak włamywacz — szepnęła do mnie — z reguły nigdy się nie rozstaje z tym pękiem kluczy i nosi je uwieszone u pasa. Janek mi mówił, że ma kopie wszystkich kluczy, należących do mego teścia... „Pawilon" ... — przeczytała jedną z mnóstwa karteczek i z figlarnym uśmiechem zsunęła jeden klucz z kółka. — Ciocia wyraziła życzenie zaglądnięcia do tej wieży nad wałem? Czy to prawda, czy mi się tylko zdaje? — droczyła się, kołysząc klucz na palcu przed mymi oczyma.

W tym momencie weszła pani Langdon ze szklanką mleka, a Joan z obawy, by się nie zdradzić, szybko ukryła klucz w fałdach sukni.

Za chwilę popychała już mój fotel wzdłuż wału. Dopiero z tego wzniesienia, które sięgało na jakieś 10 stóp wzwyż, miało się cudowny widok na morze. Na dole, na poziomie ogrodów i zabudowań spadzistość zasłaniała cały ten widok. Dlatego właśnie Menabilly, chociaż zbudowane na wzgórzu, leżało jakby na dnie talerza. Zwróciłam na to uwagę Joan, kiedy wiozła mnie ku pawilonowi, położonemu na samym końcu wału.

— Tak — odrzekła — Janek mi powiedział, że dom był tak zbudowany specjalnie w tym celu, by go nie można było dostrzec z morza. Stary Jegomość pan Rasleigh żył w wielkim strachu przed piratami; ale, prawdę powiedziawszy, sam nie był niczym więcej, jak zwykłym piratem. Dawniej, kiedy jeszcze żył, przechowywał w jakimś schowku wewnątrz domu całe bale jedwabiu i sztaby srebra, zrabowane kupcom francuskim i zwiezione potem tutaj własnymi statkami.

Dotarłyśmy właśnie do pawilonu i Joan wyjąwszy klucz obróciła go w zamku, oglądając się przez ramię, czy przypadkiem nikt nie nadchodzi. Jednym mocnym pchnięciem wtoczyła mój fatel przez drzwi a wtedy pilnie rozejrzałam się do koła, żywiąc najbardziej dziecinną nadzieję, że znajdę tam jakiś ślad piractwa. Wszystko jednak było w zupełnym porządku. Ściany wewnątrz pawilonu pokryte były rzędami książek, tylko okna zostawiono wolne; roztaczał się z nich rozległy widok na cały obszar zatoki, a w kierunku wschodnim kawałek gościńca, który urwistym brzegiem wiódł aż do Fowey.

Joan zostawiła mnie w fotelu, żebym się rozejrzała wśród książek, a sama poszła trzymać straż na wale. Nie było tam jednak nic, co by wzbudzało we mnie szczególne zainteresowanie. Obejrzawszy pobieżnie jedną półkę, chciałam obrócić fotel, by podjechać do następnej, a wtedy prawe jego kółko natrafiło na jakąś przeszkodę na podłodze pod grubym dywanem. Schyliwszy się, próbowałam uwolnić kółko, a wtedy odchylił się róg dywanu i ujrzałam, że przeszkodą dla mego kółka była żelazna obrączka, wmurowana w jedną z płyt posadzki. Obrączka ta, która niemalże wcale nie wystawała z nad posadzki, wystarczyła jednak, by zakłócić gładkie poruszenia mego fotela.

Wychyliłam się najdalej, jak tylko mogłam, i chwyciwszy obrączkę oboma rękami zdołałam podnieść kamienną płytę na jakieś trzy cale nad podłogę, zanim jej ciężar zmusił mnie do opuszczenia jej z powrotem. Udało mi się jednak przez tę chwilę dojrzeć strome stopnie, schodzące w ciemność. Zdawało się teraz rzeczą dość pewną, że pod płytą posadzki letniego pawilonu zaczyna się jakiś podziemny korytarz. Na obręczy nie było wcale rdzy, która by świadczyła o nieużywalności przejścia, a łatwość, z jaką ja, kaleka, przykuta do fotela, potrafiłam unieść kamień, była dla mnie dowodem, że tę płytę ostatnio często podnoszono. Spojrzałam ponad ramieniem na ścieżkę, która prowadziła w dół na plażę. Była wąska, obrzeżona niskimi drzewami. Musiałam pomyśleć, że przybywający skądś statek zakotwiczywszy się na głębokiej wodzie zdala od brzegu, z największą łatwością mógłby wysłać na brzeg łódkę z kilkoma ludźmi. Ludzie ci wspięliby się potem tą ścieżką aż do miejsca, w którym kończyła się na wale u stóp pawilonu. Czy schody, prowadzące pod posadzkę pawilonu miały jakiś związek z mymi podejrzeniami co do szkarpy, trudno mi było rozstrzygnąć. Jedna rzecz była pewna. Było tajemne wejście do Menabilly, przez pokój, sąsiadujący z moim, a ktoś przyszedł tamtędy nie dawniej, jak zeszłej nocy, bo widziałam go na własne oczy.

Gdy wróciłam do domu po zwiedzeniu pawilonu, zastałam krużganek pełen ludzi; wszyscy o czymś rozprawiali, bardzo podniesionymi głosami. W najodleglejszym miejscu krużganku, koło okna, dostrzegłam kogoś, czyja wyniosła postać i szerokie ramiona były mi boleśnie znajome ...

Ryszard odwrócił się i wtedy mnie zobaczył. A kiedy padło na mnie jego spojrzenie, wydało mi się, że serce wyrywa mi się z ciała i przestaje być moją własnością.

Rzecz oczywista — zmienił się bardzo. Po pierwsze zrobił się znacznie szerszy, zwłaszcza w ramionach i szyi. I twarz miał jakąś szerszą, niż dawniej, a przy tym było w jej brązowym odcieniu coś, co świadczyło o przebytych trudach i walkach ze złą pogodą. Nie było w niej tego przedtem tak samo, jak i ciemnych podków pod oczyma. Upłynęło już przecie całych piętnaście lat!

— Nie przypuszczałem — odezwał się wreszcie — że po piętnastu latach ujrzę cię tak przeklęcie nie zmienioną ...

— Dlaczego przeklęcie — spytałam.

— Długoletni nawyk stworzył mi zupełnie inny twój obraz — odrzekł. Myślałem o tobie, jako o osobie ułomnej, otoczonej lekarzami i służbą. A zamiast tego znajduję dziś — to! — Patrzył mi w twarz z prostotą i brakiem rezerwy, które tak dobrze pamiętałam.

— Przepraszam cię za to rozczarowanie — powiedziałam.

— Źle mnie zrozumiałaś — odparł. — Nie powiedziałem wcale, że jestem rozczarowany. Czy moglibyśmy tu gdzie ze sobą porozmawiać? Nie masz tu swojego pokoju?

— Owszem, mam — odrzekłam, lekko urażona w swej dumie. — Ale wyglądało by to trochę dziwnie gdybyśmy się tam razem wycofali.

— Nie miałaś dawniej zwyczaju używać podobnych wymówek — powiedział, a potem zwrócił się do obecnych:

— Mam zamiar zjeść obiad z Jejmość panną Harris, która jest moją bliską krewną, o czym może nie wszyscy tu wiedzą. Co się robi z jej fotelem?

— Wynosimy go, Wasza Miłość. To zupełnie łatwa rzecz.

— Jest jeszcze łatwiejsza — odrzekł — Ryszard. — Trzeba wyjąć z niego chorą i wynieść ją osobno. — I zamm zdołałam zaprotestować, objął mnie ramionami i uniósł z fotela.

— Prowadźcie, Mości panowie! — rozkazał.

* * *

Pamiętam ten obiad tak dokładnie, jakby się odbył wczoraj. Podparta stertą poduszek leżałam na łóżku, a Ryszerd siedział w jego nogach; długi, niski stół zastawiono przed nami. Matty wyszła, zamykając za sobą drzwi, zgadłszy niewątpliwie, że po raz pierwszy od piętnastu lat jej usługi nie są mi dziś potrzebne.

ALEKSANDER ROGALSKI

Grzechy główne

Część III

W dniu 18 lutego 1946 rozpoczęły się w Watykanie uroczystości związane z wprowadzeniem nowych kardynałów do Św. Kolegium. Wśród nowych kardynałów znaleźli się trzej Niemcy: arcybisk. Kolonii ks. Józef Frings, biskup Monasteru ks. Galen oraz biskup Berlina ks. Preysing. Pierwsi dwaj nowomianowani kardynałowie niemieccy wystąpili kilkakrotnie publicznie w czasie tych uroczystości, przedstawiając na forum międzynarodowym troski i kłopoty niemieckie. Szczególnie dobitne było wystąpienie ks. kardynała Fringsa, który wzywał cały świat do okazania jak największej opieki narodowi niemieckiemu, staczającemu się jakoby na dno nędzy ludzkiej. Oprócz tego występował również w Rzymie ks. kardynał Galen, który nie wdając się w szczegółowe przedstawienie sytuacji niemieckiej, starał się raczej wytyczyć kierunek polityki okupacyjnej w Niemczech. Ks. kardynał Galen postawił również w sposób całkowicie jasny zagadnienie stosunku Niemiec do Polski protestując przeciwko wysiedlaniu Niemców z terytoriów na wschód od linii Odra—Nysa.

Wszystko to jednak stanowiło tylko przygrywkę do mającego niebawem nastąpić generalnego ataku na obóz zwycięskich państw demokratycznych, a głównie na Polskę.

Początek dał metropolita prowincji kościelnej Górnego Renu, arcybiskup Konrad Groeber, ogłaszając w końcu marca 1946 r. swój głośny list pasterski, w którym zaprotestował przeciwko wysiedlaniu Niemców z Polski. Ponieważ treść tego listu stała się powszechnie znana, wystarczy przypomnieć tylko, że jego napastliwy ton oraz pogróżki („wskutek traktowania narodu niemieckiego posiano zatrute nasienie, które ku naszemu ubolewaniu zaczyna już kiełkować i rozrastać się...“ „Twarde ciosy młota nie uczynią niemieckiej stali ani niemieckiego ducha miękkimi i podatnymi“) narzucały skojarzenia z duchem krzyżackim.

Wkrótce potem arcybiskupowi Konradowi Groeberowi w sukurs przysz.o 7 ordynariuszy niemieckich z ks. kardynałem Fringsem na czele. Ogłosili oni w święta wielkanocne 1946 w strefie brytyjskiej list pasterski, w którym wystąpili otwarcie, jako przywódcy swego narodu przeciwko zarządzeniom wydanym przez władze okupacyjne, zwłaszcza rosyjskie.

List ten zakazany w strefie amerykańskiej i francuskiej, a ogłoszony w brytyjskiej atakuje również Polskę:

„Kilka tygodni temu byliśmy zmuszeni dać wyraz naszej opinii o wołających o pomstę do nieba wypadkach na wschodzie Niemiec, szczególnie na Śląsku i w Sudetach, gdzie ponad 10 milionów Niemców zostało brutalnie wyrzuconych z ich domów bez poszanowania osobistej własności. Pióro nasze nie jest zdolne do opisania tego niewypowiedzianego, nędznego gwałtu i zupełnego nieposzanowania ludzkości i prawa. Wszyscy ci ludzie zostali stłoczeni w pozostałej części Niemiec i pozbawieni przedmiotów pierwszej potrzeby, a nawet żywności. Jest nieuniknione, że te masy wygnańcze stanowić będą poważne niebezpieczeństwo dla pokoju.“

List pasterski występuje dalej przeciwko udziałowi Niemców w odbudowie zniszczonych przez nich krajów:

„Poczucie sprawiedliwości narodu niemieckiego jest poważnie podważane przez fakt, że prawie rok po ustaniu działań wojennych zatrzymuje się miliony jeńców wojennych, częstokroć w niemożliwych warunkach i pozbawia się ich wolności na nieokreślony czas. Setki tysięcy, jeżeli nawet nie miliony muszą jako niewolnicy wykonywać prace, chociaż jedynym zarzutem, jaki można podnieść przeciw nim jest to, iż byli żołnierzami. Nie ma żadnej wątpliwości, że gorzkie poczucie krzywdy (wielu straciło zdrowie, bądź też nawet życie) — musi nurtować w nich samych i w ich najbliższych.“

Także denacyfikację krytykują biskupi niemieccy:

„Nie zawsze rozważny sposób, w jaki zwycięskie mocarstwa oczyszczają urzędy państwowe i placówki gospodarcze od zwolenników starego reżimu, ciąży jak zmora nad narodem niemieckim. Wiemy, jak trudno jest, szczególnie cudzoziemcowi odróżnić prawdziwego narodowego socjalistę od zwyczajnego Niemca. Wiemy, w jak ohydny sposób próbują niektórzy Niemcy oskarżyć swoich własnych rodaków. Mimo wszystko uważamy za swój obowiązek oświadczyć, że bezustanne zwalnianie tysięcy urzędników i handlowców bez emerytury, areszt dalszych tysięcy bez wyroku sądowego, pozbawianie ich wolności nie dając im możliwości obrony, ani porozumienia się z rodziną, musi głęboko ranić poczucie sprawiedliwości narodu.“

List zawiera wreszcie ostrą krytykę reformy rolnej, przeprowadzonej w strefie sowieckiej:

„Nie możemy także milczeć w sprawie innego postanowienia, które wykracza przeciwko sprawiedliwości i zagraża chrześcijańskiemu prawu własności. We wschodniej części Niemiec następuje radykalne usuwanie właścicieli ziemskich, pokrywane hasłem „reformy rolnej“. To, co dokonuje się na wschodzie Niemiec mało ma wspólnego z reformą rolną. Jeżeli już obejmuje się reformą własność prywatną, to niedopuszczalne jest pod żadnymi warunkami całkowite wywłaszczanie bez odszkodowania. Dawniejsi właściciele muszą otrzymać w swojej posiadłości wydzieloną resztówkę, która umożliwi im i ich dzieciom prowadzenie życia na gospodarstwie. Godziwe odszkodowanie z uwzględnieniem indywidualnego wypadku i sytuacji ogólnej powinno być zagwarantowane osobom wywłaszczonym.“

W połowie czerwca 1946 kardynał Frings udzielił przedstawicielom prasy angielskiej wywiadu, w którym powtórzył tezy zawarte w tym liście. Ponadto przyjmując rolę przywódcy swego narodu domagał się uruchomienia całego przemysłu niemieckiego, nie dopuszczenia do reformy rolnej w zachodnich Niemczech, protestował przeciwko wysiedlaniu Niemców z ziem polskich, przeciwko zatrudnianiu jeńców niemieckich w Anglii itd.

Jesienią 1946 ogłosił arcybiskup kardynał Groeber nowy list pasterski, w którym niezwykle ostro zaatakował Związek Sowiecki i Polskę. Ton jego był tego rodzaju, że francuski zarząd wojskowy we Fryburgu kazał skonfiskować po parafiach rozdzielane egzemplarze listu, w następstwie czego arcybiskup złagodził jego treść. Na uwagę zasługuje jego wywiad udzielony w tym samym czasie francuskiemu publicyście Georges Soria z pisma „Ce Soir“. W wywiadzie tym oświadczył on: „Polska napadła na Niemcy i odpowiedzialna jest za drugą wojnę światową.“ Rozmowę swą zakończył zdaniem ze swego osławionego listu pasterskiego: „Niemiecka stal jest twarda, gdy się w nią uderza.“ Powszechnie uważa się osobę arcybiskupa Groebera za centrum wszystkich intryg prohitlerowskich i reakcyjnych w Badenii i Wirtembergii.

*

List pasterski biskupów niemieckich wydany po konferencji we Fuldzie w dniu 21 sierpnia br. przynosi szeroki program odbudowy niemieckiego życia społecznego i duchowego i zajmuje się takimi kwestiami, jak zagadnienienie uchodźców, jeńców wojennych, deploretaryzacji Niemiec dzisiejszych. Zawiera jednak zdanie niezbyt mile brzmiące dla naszego ucha:

„Często z największym pośpiechem i z niewypowiedzianą bezwzględnością przeprowadzone wysiedlenie milionów ludzi ze wschodu, to odepchnięcie od domu i zagrody winne jest temu, że na zmniejszonej, ruinami pokrytej ziemi niemieckiej powstały nie dające się w ogóle opisać nędza mieszkaniowa i głód.“

Uczuć przyjaznych nie może obudzić w nas fakt, że ten list pasterski podpisany został przez wszystkich arcybiskupów i biskupów w Niemczech, a także przez tzw. „praelatus nullius“ wolnej prałatury Schneidemühl (!), arcybiskupiego wikariusza generalnego niemieckiej części diecezji Praga, wikariusza kapitulnego arcybiskupstwa Breslau i wikariusza kapitulnego biskupstwa Ermland (Warmia).

Biskupi katoliccy nie są jednak w Niemczech odosobnieni w swoim demonstracyjnym trzymaniu się status quo ante. Na niedawnym bowiem zjeździe duchownych ewangelickich w Wittenberdze władza ewangelickiego Kościoła na Śląsku uznana została za prawnie ważną (rechtsgültig). W komentarzu do tej uchwały Ewangelicka służba informacyjna podawała, że *„każdy duchowny śląski pozostaje dopóki nie zostaje zwolniony przez swą władzę, w dalszym ciągu pastorem swej śląskiej gminy mimo tymczasowego zatrudnienia w innym kościele krajowym.“*

Skoro już dotknęliśmy tutaj Kościoła ewangelickiego, to musimy stwierdzić, że: 1) jego udział w dzisiejszym politycznym życiu niemieckim jest o wiele mniej żywy, aniżeli Kościoła katolickiego i 2) udział ten nie posiada akcentów tak przykry rezonans w nas budzących, jak udział jego wielkiego partnera w walce o duszę swego narodu. Sytuacja więc w porównaniu z postawą wobec hitleryzmu uległa całkowitemu odwróceniu. W akcji o oczyszczenie życia niemieckiego z narodowego socjalizmu koła ewangelickie grupujące się głównie dookoła osoby Niemoellera wykazują największy radykalizm głosząc tezy o winie zbiorowej narodu niemiekiego za zbrodnie hitleryzmu. Hierarchia katolicka zaś od samego początku reprezentowała stanowisko liberalne i bardzo umiarkowane w tym względzie, a tezy o winie zbiorowej zwalcza najzawzięciej. Kler obu wyznań biada stale nad utratą terenów wschodnich i nad wysiedleniem, ale *gdy wśród kleru ewangelickiego zdarza się słyszeć głosy, że jest to kara za popełnione winy, to kler katolicki zdecydowanie podkreśla moment niebywałej krzywdy.*

Różnicę tę można by sobie wytłumaczyć w ten sposób, że katolicyzm niemiecki wyszedł z tej wojny jako czynnik o nieosłabionej potędze organizacyjnej i moralnej i świadom tej potęgi, podczas gdy protestantyzm wyszedł z niej jako ciało z głębokimi ranami. *Protestantyzm zajęty jest przeto głównie odbudową swojej substancji duchowej, stąd daje się zauważyć wybitna spirytualizacja, zaobserwowanie problematyką teologiczną itp. Katolicyzm natomiast przejął na siebie z większą świadomością i z większą pewnością siebie rolę głównego narzędzia walki o postulaty polityczne Niemiec, które rzecz jasna idą po linii koncepcji tradycyjnych, i stanowi najważniejszą bazę obrony niemczyzny przed wpływami oraz niebezpieczeństwami zewnętrznymi.*

STANISŁAW CZERNIK

Powitanie Wrocławia

Przychodzę, jak swój do swego:
— Jesteś nasz!
Uczniaku, drogi kolego,
Był las i wrócił las.

Nic, że ruiny i gruzy,
Że zbity pół na pół.
Ale zielenią się bluzy
I czapki szkół.

Biało-czerwone studentki,
Jak polskie róże i mróz, —
Gruzy wywiezie czas prędki
I ręce nasze i wóz.

Trzeba uchwycić do ręki
To, co jest z nami: czas..
I sprawdzić piękno piosenki:
Nasz!

Dusza i ciało

(Dokończenie ze str. 1)

w tym brzydkim, pruskim kościele. Wszystkiemu nie dam rady! Mam jeszcze wikarego, staruszka Niemca, zostawionego na dożywociu. Do konfesjonału go nie wsadzę! Mszę świętą mi jeszcze odprawi, ale już bliski dzień, gdy położy się i powie — nie wstanę! Na Wielkanoc mdlałem, takie były ogonki do spowiedzi, chcieli mnie zamęczyć. Czy pan wie, że ja każdej niedzieli cztery msze odprawiam, jeżdżąc od wioski do wioski. Cztery msze i trzy nabożeństwa! Siedem nauk! A w tygodniu śluby i chrzty. Więcej do mnie przychodzi niż do burmistrza. Jeszcze i wykłady w szkole... Za wiele na jednego.

Na wioskach są msze raz na miesiąc, ledwie się przypomina ludziom, że w niedzielę trzeba święcić po Bożemu. Trudno, żeby mi przychodzili po piętnaście kilometrów. Wolę sam do nich zajechać.

W takich warunkach stałem się fabryką sakramentów, hurtem się załatwia wiernych, to jednak ma niewiele wspólnego z opieką duszpasterską — przecież jeśli ich nie znam, nie mogę im pomóc!

Gdy tak mówi w mroku, z ręką wspartą na poręczy rzeźbionego krzesła, przypomina mi się Kraków — miasto, którego katolickość mierzy się ilością kościelnych wici i księży, krążących po ulicach. A diecezja tarnowska, gdzie przy każdym proboszczu jest trzech wikarych, zbierających marki, fotografujących, jeżdżących na motocyklach. Obie te diecezje obiecały 30% swego stanu wysłać na Śląsk. Ale zgłoszenia mają być dobrowolne, więc któż rzuci zasobną parafię? Kto poczuje w sobie ducha misjonarskiego i przyjdzie tu na pionierską robotę?

Zakony miały delegować tu swoich ojców. Cóż, kiedy same są na wymarciu, zwłaszcza te o surowej regule. Inteligencja dusi w sobie powołania, stroni od kapłaństwa, dla chłopów przestało ono być intratnym zawodem i zapewnieniem dobrobytu.

Słyszę z kart szeleszczącej księgi, na których są wpisane ofiary wiernych — wołania bezradnych głosów. Dokumentują jak potrafią utrzymać jedność postawy, pragną współpracy.

— Tego pędu nie wolno zmarnować. Młodych trzeba przy wierze utrzymać — mówi w ciemności ksiądz — serca mają zapalne, a wargi gniewne, ale są dobrzy... Naprawdę jeszcze nie są źli. Niech pan napisze o dzieciach, o krzywdzie i grzechu. Może obudzi pan pomocników. My tu czekamy, muszą przyjść nas wesprzeć. Pracujemy resztkami sił.

Wyszedłem w ulice pachnące mocno cierpką wonią cmentarzy, których tu nikt nie szanuje; zamieniają się coraz bardziej w parki miejskie, w miejsce zabaw i schadzek. Gałązka tui roztarta w palcach tchnęła smutkiem.

— Tego towaru nie brak. Mało to przez nasze ręce przeszło.. — spluwa wartownik pogardliwie. — Ale jak na zimę mieszkania staną, trzeba się będzie rozejrzeć w swoich stronach za kobietą.

Obłoki suną nad wieżą wyciągu. Parowozy nie większe od zabawki zgwizdują się w dole. Robi mi się żal pomarnowanych dziewcząt i tych uczuć roztrwonionych. Zdaje mi się, że i na dnie, pod drwiną, w głosie chłopca brzęknęła tęsknota i rozczarowanie. Wszyscy młodzi mówią o tych sprawach szczerze i bez osłonek, ale nie cynicznie. Jest w tym nawet pewna bezgrzeszność — wychowała ich bieda, nauczycielem był las. Tam co najlepsze się wypaliło, wielkie słowa — szlachetne hasła — zamieniły się — w troskę o żarcie, o spanie, o chwilę ukradzioną śmierci — siwą od dymu machorkowego i jasną od samogonu.

Kto dziś im pomoże? Przywódcy poodchodzili spiesznie, gdy tylko ciśnienie, które zmuszało ich do życia z ludem, ustało.

Młodym, zanim opierzyli się samodzielnie w światopogląd, kazano latać, porozbijali się — teraz trudno im w hasła uwierzyć.

Mimo pozorów beztroski, niefrasobliwego śmiechu i flaszki wódki, która wystaje z kieszeni, młodych toczy smutek. Jeszcze nie nauczono ich korzystać z książki i świetlicy. Brakuje im we wnętrzu poczucia hierarchii, jakiegoś ostatecznego celu. Życie ich rozpada się na godziny i dni przepracowane bez poczucia trwałości. Budują fabryki, wznoszą mury, ale nie umacniają siebie. Bronią się przed każdą większą tęsknotą. Chcą, żeby życie było łatwe i zrozumiałe, a jednak im ono nie wystarcza.

— Wie pan, szkoda gadania! — mówi młody robotnik, ścierając trud myślenia, jak zmorę z twarzy. — To nie na nasze głowy! Lepiej kropnąć sobie kielicha i potańcować. A bo to jest jaka prawda na świecie?

Chciałbym krzyknąć — jest! Jest! Ale mi nie uwierzy, tyle go razy nabierano. Trzeba stanąć obok niego jak towarzysz, dopiero poprzez pracę jednoczącą nas może dojrzy, że można ją posiadać. Wtedy by mógł zaufać.

Rys. Janusz Łonicki.

Pustki w piersi długo nosić nie można. Jeśli nie zdobędziemy ich spowrotem dla katolicyzmu, niech poprowadzi ich socjalizm. On też uczy szacunku dla człowieka. Wódka i dziewczęta serca nie wypełnią. Szczerbią ciała i trują sumienia. Jestem gotów wołać — niech ich bierze ktokolwiek, ale niech ich weźmie, bo już bardzo potrzebują kierującej ręki!

— Panie, jak był u nas przegląd — mówi młody wartownik — u nas, na fabryce, to połowa wiary uciekła w las, a wielu już nie wróciło do roboty, tylko poszło światami... Bo ich wstyd, że im kapie!

— Jak kapie to jeszcze głupstwo! Gorzej jak kichniesz i nos ci w chustce zostanie! — śmieje się nieszczerze drugi.

Może wam się wydać, że fakty dobieram tendencyjnie, że przejaskrawiam niebezpieczeństwo. Do niedawna i ja tak myślałem.

Ale oto dane ze szpitala powiatowego w Zgorzelcu — 82% zgłaszających się po poradę — to chorzy wenerycznie. O planowym leczeniu trudno mówić, jeśli na 1.000 zamówionych kuracji, otrzymuje szpital 70. Zapytajcie misji Szwedzkiego Czerwonego Krzyża — misji pracującej w Zagłębiu, dostaniecie jeszcze bardziej zatrważające cyfry.

Trzeba ratować człowieka, młodego, pełnego radosnych sił, a zarazem tak bezbronnego, wydanego słabościom. Trzeba jakiejś olbrzymiej akcji uświadamiającej — z ambon, w urzędach, po świetlicach, na zebraniach partyjnych. Trzeba pokazać straszliwą niewspółmierność między godziną zapomnienia, a całymi pokoleniami, które obdarza się przeklętą, zatrutą krwią.

Nie wolno nam wzruszyć ramionami i powiedzieć, to nie nasza sprawa. Niech głupcy cierpią, jeśli się nie strzegli. Każdy z nas jest obciążony winą, za ich głupotę, za ich bezbronność i bezradność. Dojrzałość każdego z nas, nasza wiedza — musi nas oskarżać.

Staje przed nami ogromne zadanie apostolstwa świeckiego. Tylko przykład może ratować. Nasze życie i praca. Nasza rodzina.

Jeden ksiądz na 15.000 wiernych nie wystarczy, jeden lekarz 10.000 mieszkańców nie uleczy. Kolej jest na nas pisarzy, którzy powinniśmy być przecież najczujniejsi.

Obok fabryk i warsztatów musimy odbudowywać moralność, musimy utrawalać rodzinę. Obok księży i lekarzy, musi podjąć w walce o zdrowego, odrodzonego człowieka swoją służbę wreszcie i pisarz.

Rys. Janusz Łonicki.

Myślałem o tym dziwnym kraju, gdzie księża są wydzieleni ze społeczeństwa, uważani jedynie za szafarzy łask. Wierni odnoszą się do nich z szacunkiem, ale unikają staranniej niż lekarzy. Dziś, może to sprawiła krew kapłanów w obozach, rozlewana obficie, może wspólny los, który dzielili z ludem, po raz pierwszy wierni wyciągają rękę jak do braci starszych. Jeśli tej dłoni nie pochwycą ręce braterskie, gotowa zwinąć się w pięść.

W parę dni potem byłem nad granicą. Szosa wiła się między pagórkami porosłymi zrąbanym przez artylerię lasem. Duże drzewa złamane w połowie, wspierały się wierzchołkami o zrytą przez pociski ziemię, jak wielkie A. Tam nad Nysą Łużycką, olbrzymimi nieckami rozsiadły się odkrywki węgla brunatnego. Nie nadaje się on do transportu, trzeba go przerabiać. Niedawno ruszyła brykietownia. Oprowadzał mnie młody strażnik z karabinem na ramieniu. Pysznił się taśmą, na której odjeżdżały wysztancowane brykiety.

— Jak wam się żyje? Skąd pan jest? Żonaty? — pytałem niecierpliwie.

— Nie! — odpowiedział. — Domy nam dopiero remontują, na razie mieszkam na kupie z kolegami. Przyszedłem z okupacji, ale są tu i zza Buga i z Kalisza.

— Sklepów tu nie ma, daleko do wioski, więc jak sobie radzicie? Jadacie w stołówce?

— Z początku tak. Ale teraz jest jedna taka co nam gotuje. Przyplątała się. Czysta, nie kradnie, to nie odganiamy.

— I śpi z nami, to na co się żenić! — z kpiną dorzuca drugi.

Tłum.: MAŁGORZATA STANISŁAWSKA

Królewskiej Mości

— Słyszałam, że Parlament nałożył już cenę na twoją głowę — odezwałam się. — Mówiono mi także, że rewolucjoniści bardzo się ciebie boją i strasznie cię nienawidzą.

Podszedł z uśmiechem i usiadł koło mnie na łóżku.

— Mamy już tej wojny po same uszy — powiedział. — Pomówmy raczej o nas!

Tego właśnie najbardziej chciałam uniknąć, ale żywiłam nadzieję, że mi się uda zająć jego uwagę oblężeniem Plymouth.

— Gdzie teraz mieszkasz — zadałam wymijające pytanie. — W namiocie w pobliżu pola walki?

— A cóż bym ja robił w namiocie? — rzekł drwiąco — mając do dyspozycji najlepsze domy w całym Devonie? Niee, moja kwatera główna mieści się w Buckland Abbey i zaręczam ci, że mi się tam mieszka całkiem nie najgorzej. Zarekwirowałem im wszystkie owce, i stada, jakie tylko były w majątku, a dzierżawcy należności za dzierżawę mnie wypłacają, w przeciwnym bowiem razie każę ich wieszać. Nazywają mnie tam za plecami Rudym Lisem, a kobiety używają tego miana na postrach dla niegrzecznych dzieci. Mówią im tak: „Już tu idzie Grenville! Rudy Lis cię zje!“

Roześmiał się, jakby z najlepszego żartu, ja zaś śledziłam zarys jego szczęki, cięższy, niż był dawniej i wygięcie warg, które się zwęziły po brzegach.

— Nie taką to sławą cieszył się na zachodzie twój brat Bevil — rzekłam miękko.

— Nie — odrzekł Ryszard. — I nie mam też takiej żony, jaką miał Bevil, ani domu, który bym kochał, ani stadka szczęśliwych dziatek.

Głos jego zabrzmiał nagle szorstko i dziwnie gorzko.

— Czy twój synek jest przy tobie w Buckland? — spytałam spokojnie.

— Mój pomiot? — zadrwił. — Taak, jest gdzieś tam w pobliżu z wychowawcą.

— Jaki on jest?

— Dick? Oh, to taki mizerny skrzacik z żałosnymi oczyma.

Cienie pełzały już po podłodze. Matty wnet nadejdzie, by zapalić świece.

— Kiedy nie zechciałaś mnie wpuścić ostatnim razem — odezwał się Ryszard — poczułem, że moje życie będzie już teraz tylko jałowym trwaniem. Wszystko straciło swą wartość. Historia mojego małżeństwa doszła do twoich uszu już znacznie upiększona, przynajmniej tak sądzę. Ale jej treść zasadnicza jest prawdziwa.

— Nie masz dla niej żadnego uczucia?

— Najzupełniej. Chciałem tylko jej pieniędzy, niczego więcej.

— Jesteś, Ryszardzie bardzo różny od człowieka, którego kiedyś pokochałam.

— Dlaczego, przez miłość Boga, nam właśnie było pisane przeżyć taką tragedię? — zawołał Ryszard, zrywając się gwałtownie. — Czy nikt ci nigdy nie powiedział, że jesteś teraz jeszcze piękniejsza, niż byłaś wtedy?

Ukląkł przy moim łóżku i objął mnie mocno ramionami, a wtedy całych piętnaście lat odpłynęło od nas w nicość, w poświstach szalejącego za oknami wiatru.

— Najukochańsze moje głupiątko, z tą twoją przeklętą dumą — powiedział z niewysłowioną czułością — Czy rozumiesz nareszcie, że zniszczyłaś życie i sobie i mnie?

— Zrozumiałam to już wtedy — odparłam.

— Dlaczegóż więc to zrobiłaś, na Boga?

— Gdybym tego nie była zrobiła, wnet byś mnie znienawidził.

— To nieprawda, Honorato!

— Być może. Czy to ma jakie znaczenie? Rozpamiętywanie przeszłości nie ma żadnego celu.

— Zgadzam się. Przeszłość się zamknęła. Ale przyszłość należy do nas.. Moje małżeństwo zostało unieważnione; myślę, że wiesz o tym. Jestem wolny i mogę znowu wstąpić w związki małżeńskie.

— Zrób to więc, z jakąś nową dziedziczką.

— Nie potrzebuję żadnej nowej dziedziczki, teraz, kiedy wszystkie posiadłości w Devonie stoją otworem dla mej grabieży. Pragnę tylko jednej starej panny, to znaczy — ciebie.

— Nie Ryszardzie.

— Dlaczego?

— Bo nie dopuszczę do tego, byś się miał żenić z kaleką.

— Nigdy się nie rozmyślisz?

— Nigdy.

— A jeśli uprowadzę cię siłą do Buckland?

— Zrób to, jeżeli chcesz. Nie jestem w stanie ci przeszkodzić. Ale mimo to kaleką zostanę nadal.

Opadłam jeszcze głębiej w poduszki, wyczerpana i osłabła. Nie łatwą było rzeczą do zniesienia widzieć, jak się Ryszard zmaga z latami, które minęły. Bardzo delikatnie wypuścił mnie z objęć.

Było już niemal ciemno. Zegar na wieży zegarowej dawno już wybił ósmą.

— Muszę jechać do Grampaund — powiedział wreszcie Ryszard.

— Wiem — odrzekłam.

— Zrozumiałem to, co tak bardzo się starałaś mi wytłumaczyć. Już nigdy nie będzie mogło istnieć między nami to, co istniało kiedyś. Czy to o to chodzi?

— Tak.

— Zdawałem sobie z tego sprawę przez cały czas, ale mnie nie będzie to robiło żadnej różnicy.

— Owszem, będzie, po jakimś czasie.

— Zawsze będę cię kochał. A ty będziesz mnie też kochała. Nie możemy się znowu stracić z oczu, teraz, kiedym cię odnalazł na nowo. Czy będę mógł bywać u ciebie często, tak, żebyśmy mogli być razem?

— Kiedy tylko będziesz chciał — odrzekłam.

— Czy obiecasz mi — spytał — że już nigdy nie odpędzisz mnie od siebie?

— Obiecuję — odparłam.

— Bądź mi więc zdrowa, najmilsza moja i śpij dzisiaj dobrze.

* * *

Trzeba pamiętać, że w tym pierwszym dniu przyjazdu Ryszarda do Menabilly, Joan z figlów zwędziła klucz od letniego pawilonu i umożliwiła mi obejrzenie wnętrza tego ciekawego budynku.

Przybiegła teraz do mnie w wielkim kłopocie, nie mając odwagi odnieść klucza z powrotem i przyznać się do psoty.

— Zostawię ten klucz tu, u cioci — powiedziała — I niech już tak zostanie.

— Dobrze, zostaw — odrzekłam.

Kiedy wyszła, przez chwilę kołysałam klucz na palcu. Był średnich rozmiarów, wcale nie większy od klucza do drzwi mojego pokoju. Porównałam oba klucze, by stwierdzić, że są do siebie zupełnie podobne. Wtedy nagle przyszło mi coś do głowy, i spiesznie dostawszy się na korytarz, podjechałam do drzwi zamkniętego pokoju. Tam zatrzymałam fotel i bardzo delikatnie wsunęłam klucz do zardzewiałego zamka. Nadawał się doskonale. Dał się obrócić. A wtedy drzwi otwarły się, skrzypiąc ... Teraz byłam już pewna, że istnieje połączenie między tym pokojem, a letnim pawilonem, bo jeden i ten sam klucz otwierał oba zamki.

Wtoczyłam fotel przez otwarte drzwi i podjechałam do tego rogu, przy którym była szkarpa. Przesunęłam rękami po ścianie, ale nie mogłam namacać żadnego, najmniejszego śladu jakiegoś spojenia, czy połączenia kamieni. Mojemu dotykowi ściana ta wydawała się całkiem gładka. Ale, że było już ciemnawo, nie wiele mogłam zobaczyć, zawróciłam więc do stołu po świecę. Po drodze zatrzymałam się na chwilkę przy drzwiach, by nadstawić uszu.

Właśnie w chwili, kiedy tam nadsłuchiwałam, poczułam nagle chłodny powiew z tyłu głowy. Bły skawicznie obejrzałam się przez ramię, i zobaczyłam, że arras, którym zawieszona była ściana, przylegająca do szkarpy, powiewa na pokój tak, jakby poza nim powstał jakiś otwór, przez który dostawał się gwałtowny podmuch powietrza. Podczas, gdy wpatrywałam się w to nieoczekiwane zjawisko, dostrzegłam nagle ku memu najwyższemu przerażeniu czyjąś rękę, która ukazała się w rozcięciu arrasa i odsunęła go na bok. Nie było już czasu, by się wysunąć z fotelem na korytarz, ani nawet, by sięgnąć ręką do stołu i zgasić świecę.

Ktoś wszedł do pokoju, w szkarłatnym płaszczu, zarzuconym na ramiona i stał przez chwilę, przytrzymując odchylony arras, poza którym widniała w ścianie duża, czarna dziura. Patrzył na mnie przez krótki moment, a potem się odezwał:

— Zamknij cichutko drzwi, Honorato i zostaw tu świecę. Skoro już tu jesteś, lepiej będzie, żebyśmy się porozumieli i żeby już nie było dalszych kłopotów.

Postąpił naprzód, opuszczony arras opadł poza nim i wtedy dopiero zobaczyłam, że jest to mój szwagier, Jonatan Rasleigh.

(d. c. n.)

JANINA ZABIERZEWSKA-ŻELECHOWSKA

Jesienny wiersz

Patrząc w gasnący popiół
dumnych zamierzeń i słów
wyławiam jak nurek z morza
skrzepniętą barwę snów.

Cierpiąc, przydaję treści
tym głębszej im większy ból
— i nie żałuję z orłami
pozamienianych ról. —

Z wielu otwartych źródeł
życia wypełnia się rzecz
— więc się na burze otwieram
jak drzewa gałęzie na deszcz.

Były zwycięstwa i klęski
i światło radosnych rzek,
i tyle nie było rozpaczy
co w zbożu najlepszym plew.

I dobroć kwitła jak fiołki
na gruzie spalonych miast
— jak echo modrego nieba,
najrzadsza ze wszystkich łask.

Ją wezmę z sobą gdy stanę
u innych, nieznanych wrót,
gdzie się rozpłynie jak w wietrze
cierpienie, małość i chłód.

Stoję u progu wieczora
i patrzę w horyzont wprost.
W gwiezdny, podniebny spokój
mój własny prowadzi mnie most.

Wśród czasopism

Po roku niewidzenia przyszła do nas, stara, dobra znajoma, o której zapomnieliśmy już trochę — pani *Kamena*, opiekunka poetów i wypróbowana przyjaciółka wszystkich literatur słowiańskich.

Uparty Kazimierz Andrzej Jaworski numerem czwartym, po rocznej przerwie zamyka rocznik ósmy swojego pisma. Numer ten jest skromniejszy jeszcze niż poprzednie (choć bywały tam także numery obszerne jak np. Błokowski). Znać, że krucho z pieniędzmi, że to tak niegdyś popularne wśród literatów, młodzieży literackiej i miłośników poezji, pismo nie może sie zdobyć na ugruntowanie swojego istnienia. Nawet na dwumiesięcznik nie starcza mu oddechu. Przed wojną mieliśmy w tym typie dwa pisma, obok *Kameny* jeszcze *Okolicę poetów*. Ponadto gęsto poezją wypełniał swoje *Ateneum* Stefan Napierski. Dziś, kiedy tomiki wierszy ukazują się coraz rzadziej na rynku i to z wielką łaską wydawców, poeci mają do dyspozycji tylko normalne tygodniki literacko-społeczne, gdzie poezja jest traktowana jak kopciuszek. Dlatego myślę, że powinien się znaleźć ktoś wydawnictwo czy jakaś oficjalna subwencja, kto zabezpieczyłby skromny byt chełmskiej *Kamenie*. Pomyślmy i o tym, że to przecież po likwidacji pism literackich czy zbliżonych do literackich w Lublinie jedyny periodyk tego typu na wschodnich ziemiach Polski, ziemiach zapomnianych, o których prawa pies z kulawą nogą w prasie się nie upomina, ziemiach, które nie mają nawet jednej radiostacji, od których wieje smutkiem i opuszczeniem. Przepraszam za ten żałosny liryzm, ale byłem tam rok temu i widziałem. I pamiętam.

Przeszło 20-stostronicowy ostatni numer *Kameny* przynosi na wstępie fragment z książki Jana Parandowskiego „Alchemia słowa", której tematyka i charakter znane są już z „Twórczości" (swoją drogą cierpliwy autor i uparty redaktor, że drukują ciąg dalszy po roku przerwy w wydawnictwie). W części poetyckiej najazd młodych i najmłodszych przy akompaniamencie tych z okresu po trzydziestce: Wilhelm Szewczyk, Stanisław Wygodzki, Jadwiga Korczakowska, Maria Krzetuska, Stanisław Czernik, Aleksander Widera, Tadeusz Kubiak, Stefan Balicki, Helena Platta, Robert Stiller, Jacek Bocheński, Wacław Mrozowski oraz dwa debiuty Mirosława Ochockiego i Mariana N. Listowskiego. Ponadto jeszcze wiersz Jaworskiego i proza poetycka Marii Szczepańskiej. Zwraca uwagę udział poetów ze Śląska w tym numerze. W kronice redaktor upomina się o różne ważne rzeczy i narzeka, że niektóre apele *Kameny* przemijają nie tyle bez echa, lecz najzupełniej wyraźnie bez jakichkolwiek rezultatów. A więc sprawa uczczenia pamięci poległych pisarzy podniesiona swego czasu przez Parandowskiego, wydania poezyj Józefa Czechowicza, wznowień książek pisarza socjalistycznego, o którym zapomnieli właśnie towarzysze walki — Andrzeja Strugo. Wreszcie sprawa przekładów z literatur słowiańskich. Kwestia tłumaczeń z literatury radzieckiej w ujęciu Jaworskiego wygląda podobnie, jak to miałem sposobność ją przedstawić niedawno na tym miejscu. Przekłady z literatury czeskiej bardzo nieliczne. O innych literaturach nie ma co mówić. Jaworski posiada tu nie zawsze ścisłe informacje, a niektóre książki wymienione przez niego jako dawno zapowiedziane już się tymczasem ukazały, ale ma zupełną rację.

Z godną pochwały punktualnością ukazał się na przeciwnym od *Kameny* krańcu Polski czwarty, blisko dwustronicowy numer kwartalnika *Zeszyty Wrocławskie*. Doskonałe to, stojące na wysokim poziomie, mające do dyspozycji wybitnych współpracowników pismo za mało jest u nas jeszcze znane i popularne. Szwankował dotychczas chyba kolportaż. Miejmy jednak nadzieję, że po roku istnienia ten kwartalnik krytyczno-literacki rozszerzy swój krąg odbiorców, na co w pełni zasługuje. W najnowszym numerze w części krytycznej czytamy szkic Juliana Krzyżanowskiego o Adamie Asnyku jako poecie czasów niepoetyckich, dowcipne i barwnie napisane studium biograficzne Tadeusza Mikulskiego o Reymoncie („Reymont i duchy"), gdzie autor zajmuje się spirytystycznym, wrocławskim fragmentem życia pisarza i jego wyniesionych stąd zamiłowaniach do „duchów", essay Juliana Lewańskiego o wielkim poecie włoskiego baroku Gianbattista Marino oraz Jerzego Kowalskiego krótki szkic z dziejów „Enejdy". Proza w tym numerze reprezentowana jest przez Marię Dąbrowską, Jarosława Iwaszkiewicza, Wojciecha Żukrowskiego i Annę Kowalską. Dział literacki uzupełnia akt II „Amfitriona 38" Jana Giraudoux w przekładzie Bogdana Korzeniewskiego. W dalszym ciągu numeru Zofia Gostomska-Zarzycka podejmuje temat ducha Karkonoszy zwanego przez Niemców Rübezahlem, którego gorliwi regionaliści „sudeccy" przechrzcili na „Liczyrzepę", próbuje udowodnić jego słowiańskie pochodzenie identyfikując go z legendarną postacią, występującą jako Dominus Johannes. Zamyka numer wspomnienie Zofii Gostomskiej-Zarzyckiej o Edwardzie Porębowiczu, następnie dział recenzyj, gdzie m. in. Żukrowski omawia poezje Gałczyńskiego a T. Mikulski pamiątkową edycję norwidowską i gdzie próbują swych sił młodzi poloniści wrocławscy. To wciąganie młodych do czasopisma obserwuje się w „Zeszytach" niemal od początku. Hołduje tej zasadzie także i „Twórczość". Jakże się zmieniły czasy od chwili, gdy młody polonista np. w Krakowie zaczynał paranie się piórem od antyszambrowania u jakiegoś redaktora, który łaskawie raczył go przyjąć lub nie. Kronika przynosi sprawozdania z prac wrocławskiego Oddziału Związku Zawodowego literatów oraz z pięknej działalności Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego.

Na marginesie tego bogatego numeru warto zanotować kilka uwag. Ostatnie publikacje prof. Juliana Krzyżanowskiego (o Zegadłowiczu, Czechowiczu, obecnie o Asnyku) wskazują, że autor opracowuje zarys historyczno-krytyczny nowszej literatury polskiej, którego brak daje się u nas tak dotkliwie odczuwać. Ogłoszone fragmenty pozwalają oczekiwać, że będzie to rzecz ze wszech miar cenna, obiektywna, operująca wzbudzającymi zaufanie kryteriami. Maria Dąbrowska dała tym razem fragment najbardziej osobistych wspomnień, urywek pamiętnika, którego treść i sposób ujęcia są niezwykle charakterystyczne dla tej autorki tak pozbawionej fałszu i pozy, tak pełnej jakiejś wewnętrznej, dojrzałej harmonii, równowagi i godności. Wznowienie „Nocy i dni" to rzecz dzisiaj trudna (sześć tomów!), ale byłby to niewątpliwy „bestseller", podobnie jak było nim powojenne wznowienie epopei wypraw krzyżowej Zofii Kossak-Szczuckiej. Niewielka rzecz Iwaszkiewicza budzi zainteresowanie jako ślad kontaktu tego wybitnego pisarza z polskimi ziemiami na zachodzie. Właściwie jest też tylko wspomnienie, ale wydaje się, że kryje ono jakąś inspirację twórczą. Natomiast Wojciech Żukrowski raz jeszcze po „Odrodzeniu" zaskakuje czytelnika „opowiadaniem przewrotnym" pt. „Łazarz wskrzeszony czyli radość żywota". Niektórzy przypuszczają, że książkowe wydanie jego opowiadań z tego przewrotnego cyklu wywoła konsternację. Ma to być Wojciech Żukrowski do góry nogami. *(ki)*

W najbliższych numerach ukażą się m. in. artykuły: Stanisława Kolbuszewskiego, Jarosława Rogali, Aleksandra Rogalskiego, Stefana Sulimy i innych.

»CUD MNIEMANY«

czyli pocieszające perspektywy

CUD MNIEMANY CZYLI KRAKOWIACY I GÓRALE, opera narodowa w 4 aktach Wojciecha Bogusławskiego z muzyką Jana Stefaniego, w inscenizacji LeonaSchillera. Reżyseria: Władysław Krasnowiecki, dekoracje: Władysław Daszewski, kierownictwo muzyczne: Karol Stryja, choreografia: Tacjanna Wysocka. Premiera w Teatrze Państwowym im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach dnia 8. XI. 1947 r.

Nowy dyrektor teatru spóźnił się do Katowic o przeszło trzy miesiące, ale inauguracja sezonu spóźniła się tylko o miesiąc. Poszła ona wprawdzie po linii małego oporu przez wybór wypróbowanych już i opracowanych inscenizacyjnie przez Schillera, „Krakowiaków i górali", ale oto nie można mieć pretensji. Pomimo wspomnianych ułatwień realizacja tego widowiska stanowi dla każdego teatru duży wysiłek a poza tym rzecz warta jest zachodu, sztuka warta jest pod każdym względem wystawienia zwłaszcza w środowisku, które stanowi bazę teatru katowickiego.

Cóż szczególnego jest w starym sentymentalnym wodewilu ludowym, pierwowzorze polskim „Kościuszków pod Racławicami", „Królowych przedmieścia", „Krowoderskich zuchów" i widowisk im podobnych? Przede wszystkim jest swoisty urok prymitywu, są wielkie walory teatralne, prowokujące do rozmachu i brawury, jest wreszcie lekka, chwytająca sentyment patynka historii. Wszystkie te cechy pozwalają w zupełności na to, by „Krakowiaków" co pewien czas otrzepać z kurzu, odświeżyć i pokazać na nowo ku niezmiernemu zadowoleniu widza, jeśli rzecz się powiedzie.

Leon Schiller, autor obszernego i systematycznie opracowanego planu repertuarowego dla powojennych scen polskich, opracowanego po to, by p. Padwa robiła nadal swoje, włączył „Krakowiaków i górali" w jedno z ogniw tego planu jako sztukę historyczno-polityczną. Nie będziemy się spierali o tę definicję, która niebardzo wydaje się słuszna. Spierać się też nie warto, skoro Schiller — inscenizator w tym właśnie kierunku poszedł w adaptacji tekstu, uzupełnieniach i przeróbkach. W ten sposób student Bardos stał się rewolucjonistą i małym Kościuszką w skali jednej podkrakowskiej wioski, a dzielni Krakowiacy jego kosynierami, cały zaś utwór został suto podwatowany kościuszkowskimi aluzjami, otrzymując silną dziś dla nas aktualizację. Jeszcze jedna próba odświeżenia „Krakowiaków i górali" udała się Schillerowi bez zastrzeżeń. Zrobił to pomysłowo, zręcznie, konsekwentnie i w stylu, nadając widowisku dyskretny sens polityczny, pogłębiając je i urozmaicając. W tej wersji sztuka Bogusławskiego wejdzie na nowo w repertuar teatrów polskich.

Stefan Rydel (Stach), Jadwiga Colonna-Walewska (Basia), Władysław Jabłoński (Jonek).

Rzecz prosta, że nie wszystkich. „Krakowiacy" mają swoje poważne wymagania sceniczne. Ich prymitywizm artystyczny i sielankowy konwencjonalizm kryje poważne niebezpieczeństwo dla reżysera i aktora, wymaga stylowego, trochę groteskowego ujęcia poszczególnych postaci, przy czym potrzebna tu jest koncepcja reżyserska oraz nadążająca za nią technika gry aktorskiej, unikająca przerysowania i szarży, dysponująca dużym opanowaniem i kulturą. Widowiskowy charakter sztuki wymaga efektownej oprawy dekoracyjnej i kostiumowej, odpowiedniego opracowania choreograficznego, które jest o tyle trudne, że tańce wykonuje nie tylko balet, ale przede wszystkim grający poszczególne role aktorzy i wreszcie dużego doświadczenia reżyseria w operowaniu grupą i tłumem. Trzeci zespół trudności to strona muzyczna widowiska, partie solowe znów w wykonaniu aktorów dramatycznych i partie chóralne.

Sprawdzając po kolei wykonanie katowickie widowiska w tych trzech etapach, powiedzieć trzeba przede wszystkim, że stanęło ono na dobrym poziomie aktorskim. pod tym względem nie oczekiwaliśmy w tym sezonie od katowickiego teatru wiele, to też tym milsze jest wrażenie, jakie sprawiają „Krakowiacy i górale". Zatem sam *Władysław Krasnowiecki* w roli Bardosa dał postać niezwykle stylową i ujmującą. Potraktował ją bardzo swobodnie i bardzo teatralnie. Grał i akcentował to, że gra — gestem, mimiką, intonacją głosu i akcentem, nieco przesadną płynnością ruchu, nie siląc się na niewłaściwy tu zupełnie realizm przy zastosowaniu szlachetnej, możliwie najbardziej prostej i naturalnej konwencji aktorskiej, która nie raziła, gdyż była zamierzona, celowa, dobrze odmierzona. Patetyzował odpowiednie, nasycone szlachetną tendencją partie roli bardzo dyskretnie i ciepło, funkcjonował jako deus ex machina konwencjonalnej akcji w sposób niezawodny, nie narzucający się i zgodny z charakterem całego widowiska. Dorota pani *Janiny Jabłonowskiej* stanowiła rolę świetnie opracowaną we wszystkich szczegółach zarówno dialogowych jak mimicznych, grała przez cały czas pobytu na scenie i grała doskonale też z pewną najzupełniej tu właściwą i trafną stylizacją, barwnie i żywo. Szczególnie dobre były jej sceny ze Stachem, ale tu już dochodził do głosu wykonawca tej roli, *Stefan Rydel*, który przypomniał najlepsze fragmenty swej roli w „Rozbitkach". W ujęciu tej roli najwięcej było groteski, która dała jej wysokiej klasy komizm i pokazała ją współczesnemu widzowi od najbardziej właściwej strony. Drugą jego partnerką Basią, była na premierze p. *Sabina Chromińska*, która wystąpiwszy po raz pierwszy na katowickiej scenie od razu zdobyła sympatię widowni i uznanie dla swego talentu, techniki aktorskiej, umiejętności posługiwania się nią i naiwnego wdzięku. Stanowiła z p. Rydlem doskonale dobraną i zestawioną parę, której drugoplanowym pendant byli państwo młodzi *Magda Radłowska* i *Jan Żardecki*. P. Radłowska tańczyła niemal jak Primabalerina, tak samo dobrze i z takim wdziękiem grała. W czołowej grupie młodych niczym pozostałym aktorom nie ustępował *Władysław Jabłoński*, jako sympatyczny, zawadiacki Jonek. Dużo naturalnego humoru wnosił *Władysław Zastrzeżyński* w roli organisty Miechodmucha. Nawet epizodyczna rólka Pastucha w wykonaniu *Władysława Przebińskiego* była doskonała. Dalsze role w „obozie" Krakowiaków wykonali *Kazimierz Lewicki* (Młynarz), *Marian Bielecki* (Wawrzyniec) i *Maria Sieniawska* (Stara Baba). Grupa górali była na ogół mniej ciekawa. Przewodzili jej *Jerzy Fitio* (Bryndas) i *Marian Jastrzębski* (Morgal, którzy niewiele wnieśli do swych ról inwencji, utrzymując się w swoim zwykłym stylu.

Strona dekoracyjna i kostiumowa efektowna i bogata, nacechowana dbałością o każdy szczegół, choć właśnie w szczegółach kostiumowych zwłaszcza budząca pewne zastrzeżenia. Dekoracje Władysława Daszewskiego bez odchyleń harmonizowały z charakterem i stylem sztuki, z jej stylizowaną groteskowością i prostotą. Nie można się natomiast zgodzić z ujęciem niektórych kostiumów góralskich. Strona choreograficzna widowiska pod kierunkiem Tacjanny Wysockiej nie zawiodła, stała wyżej niż w „Śnie nocy letniej". Tańce krakowskie szły sprawnie i harmonijnie, słabiej natomiast zaprezentowały się w partiach męskich znacznie trudniejsze tańce góralskie, które mniej miały temperamentu i stylu.

W tym wszystkim znać było na każdym kroku pracę reżysera *(Wł. Krasnowiecki i asystent Wanda Wróblewska)*. Jej staranność, konsekwentną koncepcję, troskę o szczegóły i styl całości znać było na każdym aktorze. Scena katowicka za szczupła jest na efektowne operowanie tłumem, który był tu bardzo liczny, zróżnicowany na dwie odrębne grupy. Reżyserzy wyszli z tych trudności obronną ręką walcząc z brakiem przestrzeni wszerz sceny i ze stanowczo zbyt krótką perspektywą wgłąb.

Sprawa ostatnia, to strona muzyczna i wokalna. Tu mogę tylko tyle powiedzieć, że obok dobrze brzmiących, ześpiewanych, równych chórów, które wypadły bardzo „gromko", znacznie gorzej postawione były partie solowe, gdyż nie wszyscy aktorzy mogą dobrze śpiewać. Piosenki z małymi wyjątkami brzmiały bardzo niepewnie a najgorzej już było z duetami, gdzie głosy rozchodziły się jeden do Sasa drugi do lasa. No ale trudno. Kto nie zadowolony, niech idzie na pociechę do opery.

W sumie oficjalny niejako początek sezonu teatralnego w Katowicach udał się, co trzeba przyznać sprawiedliwie, żywiąc skrytą nadzieję, że może jednak nie zawiedziemy się tak, jak się na to zanosiło. Bo to przedstawienie jakoś nie wygląda na „miłe złego początki". Teraz czekamy na drugą scenę.

Zdzisław Hierowski

Tydzień Katowic

3. 11. do 9. 11. 1947

ŻYCIE LITERACKIE:

5. 11. W ramach cotygodniowych odczytów Klubu Literackiego przy Zawodowym Związku Literatów odbyła się w sali Instytutu Śląskiego prelekcja Stefana Kisielewskiego pt. „Współczesna Literatura polska na tle literatury europejskiej".

9. 11. W sali odczytowej Wojewódzkiego Domu Kultury przy ul. Francuskiej 12, zorganizowano staraniem Zarządu Domu Kultury „Wieczór poetów", w którym wzięło udział kilku członków śląskiego oddziału ZZLP: Jan Baranowicz, Aleksander Baumgardten, Zbyszko Bednorz, Józef Prutkowski i Wilhelm Szewczyk. Słowo wstępne wygłosił Jan Brzoza.

TEATR:

8. 11. W Państwowym Teatrze Śląskim im. Wyspiańskiego otwarto sezon teatralny premierą „Krakowiaków i Górali" Wojciecha Bogusławskiego, w inscenizacji Leona Schillera, w reżyserii Władysława Krasnowieckiego. Udział wzięli: Marian Bielecki, Jadwika Colonna-Walewska, Sabina Chromińska, Michalina Dąbrowska, Jerzy Fitio, Rudolf Gołębiowski, Janina Jabłonowska, Władysław Jabłoński, Marian Jastrzębski, Danuta Kwiatkowska, Władysław Krasnowiecki, Kazimierz Lewicki, Michał Leśniak, Zbyszko Łobodziński, Maria Pawluśkiewicz, Władysław Przebiński, Halina Piłatówna, Zbisław Pelc, Stefan Rydel, Magda Radłowska, Maria Siemińska, Krystyna Wydrzyńska, Wacław Zastrzeżyński, Jan Żardecki, oraz balet Tacjany Wysockiej. Dekoracje i kostiumy: Władysław Daszewski. Kierownictwo muzyczne Karola Stryja. Choreografia: Tacjana Wysocka. Asystent Wanda Wróblewska. Reżyseria Wł. Krasnowiecki.

7. 11. Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Okręgowe Biuro Koncertowe w Katowicach zorganizowały w ramach miesiąca wymiany kulturalnej polsko-radzieckiej koncert radzieckiego chóru reprezentacyjnego w zespole 120 osób, pod dyrekcją Aleksandra Swiesznikowa. W programie rosyjskie pieśni ludowe, dawne i współczesne.

AKADEMIE:

6. 11. W związku z uroczystym obchodem 30-stej rocznicy Rewolucji Październikowej odbyły się 2 Akademie: w teatrze im. Wyspiańskiego oraz Domu Kultury i Oświaty Związków Zawodowych. Przemówienia wygłosili: Minister Berman, Mjr Armii Radzieckiej, Zieleziński, Wiceminister Pragierowa, oraz Przedstawicielka Światowej Federacji Kobiet, Nina Popowa. W części artystycznej wzięli udział artyści Teatru i Opery, muzycy i literaci.

Tydzień spraw zachodnich

A. Polityka i gospodarka.

Szczęsny Zapolski — „Twórczość gospodarcza Polaków na Ziemiach Odzyskanych do r. 1939 (Polska Zachodnia nr 40).

B. Nauka, kultura, sztuka.

Janusz Jurewicz — „Na podbój Pomorza Zachodniego" (Młodzi Idą Nr 41).

* * * — „Książka dla Ziem Odzyskanych" (Głos Nauczycielski Nr 15).

Zygmunt Lasocki — „Grunwald" (Piast Nr 37).

J. Dobrowolski — „Kościółki drewniane na Śląsku" (Ogniwa Nr 46).

Zdzisław Hierowski — „Robotnik śląski interesuje się plastyką" (Odrodzenie Nr 40).

Stefan Papee — „25 lat literatury na Śląsku" (j. w.).

Marian Brandys — „O zabytkach i książkach (j. w.).

C. Narodowościowe.

Stanisław Stomma — „Problemy polskiej Alzacji" (Tygodnik Powszechny Nr 40).

Stefan Kwiatkowski — „O dobre współżycie ludności napływowej z polską ludnością stale osiadłą na Ziemiach Odzyskanych" (Polska Zachodnia Nr 40).

D. Literatura i reportaż.

* * * — „Szczecin — prastare miasto piastowskie" (Świat górnika Nr 9).

Andrzej Schoenman — „Huk" tętni pracą" (j. w.).

W. — „Polskie miasto Gdańsk" (Młodzi idą Nr 41).

Jerzy Adamski — „Na Górze św. Anny" (Głos Katolicki, 42).

B. W. — „Miasto Odzyskanych dzieci (Bartoszyce) (Trybuna Wolności, 34).

Elja Ehreburg — „Nawałnica" (Kuźnica Nr 40).

Zbigniew Ołaniecki — „Dożynki w Opolu" (Wiciowa Wolna Groma da Nr 19).

Zdzisław Bilski — „Dożynki w Kamiennej Górze" (j. w.).

Stan. — „Żniwa na Opolszczyźnie" (Piast Nr 37).

Paweł Jasienica — „Spowiedź udręczonych" (Tygodnik Powszechny Nr 40).

Eugeniusz Paukszta — „Siew zła i siew dobra" (Mazury) (Polska Zachodnia Nr 40).

WOJNA I OKUPACJA

Janina Wierzbowska — „Hel" (Chłopska Droga Nr 40).

Eryk Lipiński — „Sprawa kolaboracji (Szpilki Nr 40).

Jerzy Braun — „W ginącej Warszawie" (Tygodnik Warszawski Nr 40).

Krystyna Mierzejewska — „Ostatnie dni na placówce" (j. w.).

Irena Pannenkowa — „Mit" wojen, których nie było" (j. w.).

Seweryn Włodarski — „Daty i fakty" (Tygodnik Powszechny Nr 40).

Władysław Pawlak — „Upadek Vichy (Tydzień Nr 40).

Józef Bartosik — „W obronie plaży" (j. w.).

Andrzej Starek — „Major Pawlik — Organizator i Dowódca AL" (Świetlica Nr 9).

* * * — „Z dziejów największego boju partyzanckiego" (j. w.).

SPRAWY NIEMIEC

Ks. Roman Mieliński — Pastor Niemöller (Głos Katolicki, 42).

Heinz Pol — „Dla czego p .James podał się do dymisji" (Trybuna Wolności, 34).

K. S. — „To by nam groziło" (Nowiny Literackie, 29).

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 54034

Muzyka we Wrocławiu

Tegoroczny wrocławski sezon muzyczny zapowiada się bardzo interesująco. Już w pierwszych tygodniach byliśmy świadkami kilku recitali i koncertów symfonicznych stojących na najwyższym poziomie.

Przede wszystkim z zadowoleniem musimy zanotować pojawienie się na afiszach muzyki kameralnej w najlepszym wykonaniu. Mamy to do zawdzięczenia Kazimierzowi Wiłkomirskiemu, który objąwszy kierownictwo Opery Dolnośląskiej i Filharmonii Wrocławskiej, nie zaniedbuje i muzyki estradowej.

Usłyszeliśmy w wykonaniu Kazimierza i Marii Wiłkomirskich na koncercie muzyki szopinowskiej przepiękną sonatę g-moll op. 65 i na koncercie muzyki radzieckiej Sonatę D dur na wiolonczelę i fort. Mikołaja Miaskowskiego — utwór o ciekawej moderniżującej fakturze, na którym jednak czuć duży wpływ muzyki romantycznej, a bodaj nawet Szopena. Na tymże koncercie muzyki radzieckiej Wanda, Kazimierz i Maria Wiłkomirscy odegrali nowoczesne, finezyjnie zbudowane, porywające lekkością melodii i bogactwem rytmiki Trio Dymitra Szostakiewicza na skrzypce, wiolonczelę i fortepian.

Wiłkomirscy tworzą nadzwyczajnie zgrany zespół kameralny, o dużej równowadze tonu i idealnym współbrzmieniu instrumentów, co przy najwyższym poziomie artystycznym poszczególnych wykonawców daje gwarancję świetnego wykonania.

Kazimierz Wiłkomirski (dyrektor Filharmonii Wrocławskiej i Opery Dolnośląskiej).

Ale wróćmy do chronologicznego sprawozdania z koncertów wrocławskich.

10 września Wrocławski Oddział Centralnego Biura Koncertowego zorganizował (na odbudowę Warszawy) — Podwójny „Recital Szopinowski" Marii i Kazimierza Wiłkomirskich. W programie usłyszeliśmy Introdukcje i Polonez C dur na wiolonczelę i fortepian op. 3 Sonatę wiolonczeliwą g moll op. 65, sonatę fortepianową b moll op. 35, 2 mazurki (C dur i h mol), 4 etiudy (Edur, fmoll, As dur i c moll) i Scherzo cis moll.

Gra Marii Wiłkomirskiej odznacza się olbrzymią kulturą i wewnętrznym przeżyciem, przy starannie odmierzonej frazie i przemyślanym rozłożeniu dynamiki. Kazimierz Wiłkomirski przy świetnej wirtuozowskiej technice, zachowuje czystość i miękkość tonu. Kantylena jego wiolonczeli brzmi szlachetnie i płynnie.

Przed oficjalnym otwarciem sezonu Filharmonia Wrocławska wystąpiła z Nadzwyczajnym Koncertem w Dużym Studio Koncertowym Rozgłośni Polskiego Radia z udziałem Jerzego Gardy. Znakomity baryton wykonał arie z Halki, Pajaców, Andree Chenier, Afrykanki, Werthera i Carmen. Orkiestra pod dyrekcją Kazimierza Wiłkomirskiego odegrała uwerturę do Oberona Webera, pochód weselny z opery Złoty Kogucik Rimskij Korsakowa i preludiu Lista.

Z zadowoleniem można podkreślić znaczne wypełnienie tonu i zwiększenie dyscypliny wykonawczej orkiestry Filharmonii Wrocławskiej. Szczególnie instrumenty smyczkowe brzmią co raz soczyściej i wyzbywają się suchości w prowadzeniu melodii. To podniesienie się poziomu orkiestry szczególnie się uwydatniło na Koncercie Inauguracyjnym Filharmonii Wrocławskiej (17. 10.), na którym wykonano Concerto Grosso g-moll nr 6 Haendla, J. A. Maklakiewicza poemat symfoniczny nia. „Grunwald" pod kierownictwem ny. Prowadził Kazimierz Wiłkomirski w bardzo pięknym stylu wydobywając pracę dynamiczną i motywiczną wykonywanych utworów. Dramatyczny, narzucający literackie skojarzenia, „Grunwald" pod kierownictwem Wiłkomirskiego zabłysnął pełnymi napięcia efektami agogicznymi. Z ciekawej Uwertury Bacewiczówny wydobyto piękną architekturę rytmu.

Solistką koncertu, znakomita skrzypaczka Eugenia Umińska wykonała w bardzo dobrej formie koncert skrzypcowy D-dur Brahmsa z towarzyszeniem orkiestry — jeden z najpiękniejszych koncertów w literaturze skrzypcowej.

24. 10. odbył się za staraniem Centralnego Biura Koncertowego recital skrzypcowy fenomenalnej skrzypaczki laureatki konkursu genewskiego Wandy Wiłkomirskiej. Gra Wiłkomirskiej fascynuje lekkością techniki, która jednak nie służy jedynie do wirtuozowskiego popisu, ale organicznie zespolona z uduchowionym wprost frazowaniem i szlachetnym tonem, stanowi najdoskonalszy środek dla wyrażenia myśli muzycznej.

Na uwagę zasługuje również spokój i dojrzałość wykonania, a zarazem zupełny brak afektacji w grze młodziutkiej skrzypaczki. Na przepiękny program złożyły się: Adagio i Fuga z sonaty G-moll J. S. Bacha, Rondo Mozarta w opracowaniu Kreislera, sonata skrzypcowa A-dur C. Francka, Rondo Capricioso Saint-Saensa, Poemat Chausson, Taniec Harnasiów Szymanowskiego, Aria Wiłkomirskiego i La Tzigane Ravela.

Przy fortepianie nadzwyczaj muzykalnie współdziałała w koncercie Maria Wiłkomisrka.

Na wielkim koncercie muzyki radzieckiej, który się odbył 26. 10. w koncertowym studio P. R. usłyszeliśmy poza omawianymi na wstępie utworami Miaskowskiego i Szostakowicza, bardzo dobrze odegrany przez uzdolnioną pianistkę Teofilę Markiewicz — Poemat i Toccatę Chaczaturiana i pieśni Pruszkowa, Syrowa, Wasilenki i Gliera w muzykalnym wykonaniu artystki Opery Dolnośląskiej Walerii Jędrzejowskiej.

Niecodziennych wzruszeń artystycznych dostarczył nam koncert Filharmonii Czeskiej pod dyrekcją Rafaela Kubelika. Tyle już świetnych znawców muzyki pisało o stojącym na najwyższych szczytach artystycznych poziomie tej orkiestry i jej genialnym dyrygencie, że ograniczę się tylko do lapidarnego podania programu, który zawierał: Maklakiewicza „Uwerturę Praską", Dworzaka IV Symfonię, Suka „Poemat symfoniczny św. Wacław", Smetany „Wełtawę" i trzy tańce słowiańskie Dworzaka.

Koncert ten będący ostatnim ogniwem wspaniałego łańcucha gościnnych występów Filharmonii Czeskiej w Polsce zamienił się w spontaniczną manifestację przyjaźni polsko - czechosłowackiej. Filharmoniści Czescy byli naprawdę najlepszymi ambasadorami swej ojczyzny i występami swymi w Polsce niemało przyczynili się do zacieśnienia węzłów przyjaźni między oboma narodami.

Wojciech Dzieduszycki.

Najwygodniej jest zaabonować „Odrę" w najbliższym urzędzie pocztowym. Obędzie się bez bójek przed kioskami.

Rafał Kubelik, dyrektor Filharmonii Czeskiej.

Krótkie spięcia

Gruby realizm

Nasz język literacki staje się coraz bardziej, jak to się mówi, jędrny. I to tak jędrny, że czasami człowiekowi aż z tej jędrności robi się to i owo.

Chodzi w pierwszym rzędzie o słowo, zaczynające się na literę „d". Zyskało ono, zdaje się, już powszechne obywatelstwo i bywa używane w dziełach literackich można powiedzieć, nagminnie.

Po nim, czy też może raczej po niej, idą dalsze wyrazy, grubsze niż noga w udzie, jak np. potoczny w literaturze wyraz, zaczynający się na „g", a potem inne, i inne, i jeszcze raz inne, barwne, soczyste, wysokokalibrowe, pełne bardzo wielkiego ciężaru gatunkowego.

Wszystko to jest w porządku. Realizm, realizm i jeszcze raz realizm. Cóż to szkodzi, że d... i g... w dziele literackim będą się powtarzały niemal na każdej stronie, i że bohaterowie powieści będą sobie nawzajem co chwilę wypominali swoje bardzo niesławne, a obraźliwe dla matek, pochodzenie...?

Papier przecież jest cierpliwy. Jest tylko jeden szkopuł. Mianowicie ten, że literatura idzie w świat i że jej tzw. konsumenci, czując w niej niejako zamówienie społeczne, zastanawiają się, czy im wolno t a k s a m o mówić, jak literatom pisać.

Otóż jeden z tych konsumentów pisze nam na ten temat co następuje:

„Chodzi mi o to, czy dopuszczalne są w literaturze pięknej zwroty tak realistyczne, jak: „G... zawsze wypłynie na wierzch" (w oryginale bez kropek), albo: „w celi czuć było zapach pz... i potu nóg" (w oryginale również bez kropek) itp., nie mówiąc już o nieśmiertelnej „d..." z kropkami i bez kropek.

Wyżej przytoczone zwroty czytałem w poważnym tygodniku, w umieszczonych tam wyjątkach dzieł literackich.

Czy można więc w rozmowie potocznej używać podobnych obrazowych powiedzeń zwykłemu śmiertelnikowi, czy też jest to tylko przywilej poetów lub prozaików, wreszcie, gdyby się obrażono, czy można tłumaczyć się tym, że podobne zwroty używane są przez naszych pisarzy...?"

Właśnie. Mamy więc do czynienia z pewnym dylematem. Jak go rozwiązać? Uważam, że najlepiej było by rozpisać ankietę wśród pisarzy, a zwłaszcza wśród tych, używających owych wyrazów. Mam wrażenie, że plon byłby duży i ciekawy. Możliwe, że większość ankietowiczów opowiedziałaby się przeciwko dalszemu pogłębianiu problemu, czyli przeciwko dalszemu używaniu grubawych powiedzonek, ale gdyby rezultat ankiety był przeciwny, to co...?

No to nic. Wówczas zawołalibyśmy gromkim głosem: „Niech żyje d...!" i zaczęlibyśmy wszyscy pisać tak, jak pisze się kredą na płotach i parkanach.

Byczo jest!

Niejaki X.

Tydzień Wrocławia

19. 10. — 26. 10.

ŻYCIE MUZYCZNE:

24. 10. odbył się w sali Państwowego Teatru Dolnośląskiego recital skrzypcowy Wandy Wiłkomirskiej. Akompaniowała Maria Wiłkomirska. W programie: Bach, Mozart, Franck, Saint-Saens, Chausson, Szymanowski, Wiłkomirski.

ŻYCIE LITERACKIE:

20. 10. odbył się 10-y „Poniedziałek u literatów" Związku Zawodowego Literatów, Oddziału Wrocławskiego. Był to wieczór autorski Tadeusza Kudlińskiego.

23. 10. odbył się 75-y „Czwartek Literacki" Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego, na którym Danuta Skrzeszewska-Bieńkowska odczytała jedno ze swych opowiadań.

PLASTYKA:

19. 10. w lokalu Związku Zawodowego Artystów Plastyków, Oddziału Wrocławskiego odbyło się otwarcie wystawy prac plastyków katowickich. Wystawa obejmuje prace: W. Bednarskiego, E. Biszowskiego, E. Czarneckiego, M. Dawskiej, J. Dutkiewicza, A. Fiszerowej, L. Hanulanki, F. Heydera, J. Jaroszewicza, T. Łakomskiego, J. Łonieckiego, A. Raka, T. Ratka, P. Stellera, B. Stawińskiego, W. Uklejowej, W. Uklei, M. Wyrożemskiego.

ŻYCIE NAUKOWE:

21. 10. odbyło się 37-e posiedzenie naukowe Towarzystwa Lekarskiego z odczytem dr. Szpilczyńskiego o leczeni